

Technik - mechanik. Urodził się w 1933 roku w Sosnowcu. Od 1953 roku zamieszkuje w Raciborzu, woj. katowickie, /poprzednio opolskie/. Zawód ojca: ślusarz. Ukończył średnią szkołę zawodową. W czasie pisania pamiętnika studiował zaoочно na Politechnice. Żonaty. Członek PZPR. Nr ewid. pam. 516

### Fabryka i miasto rosły razem ze mną

W roku 1945 miałem 10 lat. Rok temu ojca pracującego w starej Sosnowieckiej Fabryce Lin i Drutów wywieźli na roboty do I.G. Farbenindustrie Kędzierzyn /obecnie Z-dy Azotowe/. Mieszkaliśmy wtedy na przedmieściu Sosnowca w dzielnicy którą zwano "Kolonią Staszyc", albo "Puszkinem". Jeden wielki "familok" długości 150 m, pełen klitek jedno - i dwuizbowych, zamieszkały w całości przez rodziny robotnicze. Właściwie to dobrze mi było na tej Kolonii. Zaraz za torem kolejowym, biegnącym wzdłuż murów fabrycznych rozciągały się łąki i olbrzymie doły, z których dawno temu wybierano piasek dla pobliskich kopalń w Nivce i Modrzejowie. To był raj dla nas dzieci, bo od wiosny do późnej jesieni można było grać w piłkę, zaś w zimie jeździć na nartach skleconych ze starych klepek. Znałem tu każdy kąt, każdy skrawek trawy, wiedziałem o wszystkich ptasich gniazdach i o miejscach gdzie rosły pieczarki.

Wtedy była wojna. Byłem zbyt młody by móc myśleć o tym jak mogło być inaczej. Czułem ją tylko po coraz mniejszych racjach żywnościowych, potem jak zbyt często zaczynało brnąć w piwnicy brukwi, potem jak matka coraz częściej udawała się do Generalnej Gubernii, aby przez zieloną granicę przywieźć od swej siostry kilkanaście kilo maki, fasoli lub skoniny. I właśnie w 1945 roku ojciec, który mógł raz na dwa tygodnie przyjeżdżać do domu, postanowił zabrać mnie ze sobą do Kędzierzyna. Z Kędzierzyna mieliśmy jechać do pobliskiego Raciborza, o którym ojciec słyszał jako o bardzo pięknym mieście.

Nie pamiętam już jakie załatwiał formalności, czy też pojechaliśmy bez nich, dość że w 1945 roku byłem w mieście, w którym za kilkanaście lat miałem pozostać na długo.

Kiedy w 1952 roku kończyłem Liceum Mechaniczne w Myszkowicach byłem jednym z pierwszych, którzy zgłosili się na nakaz pracy do Fabryki Urządzeń Technicznych w Raciborzu. Gdyby mnie dzisiaj ktoś zapytał o powody jakie mnie wtedy kierowały, może bym mu odpowiedział, że wspomnienia sprzed 10 lat pozostały w mej pamięci, a może była to tylko chęć szybkiego usamodzielnienia się.

Nie doczekaliśmy nawet końca wakacji i już w połowie sierpnia 1952 roku zgłosiliśmy się do pracy w Raciborzu. Czekano nas tutaj przynajmniej 3 lata samodzielnego życia. Byłem przyzwyczajony do samodzielności, bowiem nauczyła mnie wojna, ale to miało być coś innego. Wtedy mając 11 lat jeździłem jak się to mówiło na "szaber" do leżących koło Trzebiny Peor. Potrafiłem jak dorośli owijać sobie nogi liśćmi tytoniu, który następnie ojciec wywoził do Kędzierzyna, unikałem zdobyć w ciągu dnia i trzy paczki drożdży, z których stary G. [REDACTED] robił doskonałą cukrowkę. Za tym wszystkim stała jednak moja matka, kierująca mną, kobieta mądra, która potrafiła związać koniec z końcem w każdej sytuacji.

Jadąc do Raciborza wiedziałem, że miasto było zniszczone w czasie działań wojennych, ale to co zobaczyłem przeraziło mnie. Przyjechaliśmy późnym popołudniem i już przed wjazdem na dworzec z okien pociągu zobaczyliśmy dziesiątki ruin. Dworca także prawie nie było. Jeden budynek, a wokół ruiny. Koledzy, którzy przyjechali ze mną, patrzyli na mnie jak na wariata, bo przecież nikt inny tylko ja opowiadałem im o tym zielonym mieście, tak innym od naszych sadymionych miast śląskich. Wyszliśmy na plac przed dworcem. Z prawej strony stał budynek poczty, na lewo kilkadziesiąt kroków dalej hotel miejski, w głębi widać było zwalo-

na do połowy wieży kościoła, a po bokach ulicy jak nam powiedziano biegnącej do rynku za wysokimi parkanami z desek, oblepionymi plakatami i ogłoszeniami sterczały wywarke kikuty domów. To było coś co pozostało na zawsze w mej pamięci.

Przez 5 lat wojna straszyla mnie głodem, poniżeniem, widziakiem śmierci ludzi, /bowiem na moich oczach wieszano na Modrzejowskiej w Sosnowcu żydów/ ale nigdy nie widziakiem miasta, któremu wojna zadała śmiertelny cios. Takie były moje pierwsze odczucia, bowiem za kilka dni miałem się przekonać, że miasto Racibórz wcale nie umarło, że dąwiga się z ruin, że przybywa do niego coraz więcej ludzi. O tym jednak miałem się przekonać później. Z trudem otrzymawszy miejsce w hotelu miejskim, po zimnym tuszu i zmianie bielizny, zaciekawieni tym nowym które nas czekało wyruszyliśmy na miasto. O kilkaset metrów od stacji kolejowej był rynek. Z lewej strony ruiny starych kamieniczek, pamiętających jeszcze czasy renesansu, z prawej dwa trzymające się jeszcze domy, wokół których znowu sterczały te potworne gruzy. Na środku rynku o dziwo stała nienaruszona figura Matki Boskiej, a obok w niej wykuty w kamieniu napis, że to dar miasta za uratowanie go w 18 wieku od zarazy.

Rozglądając się jednak wokół widać było i nowe domy. Biegająca od rynku ulica Długa oczyszczona już z jednej strony, z drugiej uśmiechała się nowymi wystawami sklepów. Obeszliśmy kościół, za którym w jednym długim szeregu stało chyba 6 bloków spalonych, porośniętych zieleciem i tak już bez celu włóczyliśmy się jeszcze z godzinę. Wróciliśmy do hotelu zmęczeni. Mówić specjalnie nie było o czym. Dzięki zachód - powiedział jeden z moich kolegów. Jeżeli jeszcze zakład będzie taki jak miasto, to chyba byłam niespełna rozumu pchając się w te strony. A mówił mi ojciec: Zostań w Sosnowcu albo Mysłowicach. Do domu blisko, jak trzeba będzie to potem przeniesiesz się do tego zakładu, gdzie



i ja pracuję.

Znałem zakład, w którym pracował ojciec dość dobrze. Przynosiłem mu nieraz kolację kiedy pracował na drugiej zmianie. Później kończąc Technikum pozwolono mi szczegółowo zapoznać się z budową obrabiarek. Zbyt jednak zakład mi się nie podobał. Był zawsze brudny, zakurzony, nie wiem nawet czy to ze starości, czy z jakichś innych powodów. Hale niskie, ciemne. Marzyłem o pracy w dużym zakładzie, nowoczesnym, w którym można się będzie wiele nauczyć. Jaki będzie ten FUT?

Nazajutrz długo szedłem do mojego pierwszego zakładu pracy. Położony był daleko za miastem tuż nad Córą. Był wielkim placem budowy. Ogródzony drucianym parkanem przedstawiał zbiorowisko maszyn bułowlanych, sprzętu, pozostałości żak, na których rozpoczęto budowę. Z daleka widać już było jedną halę. Halę olbrzymią, ale tylko jedną. Przed zakładem żadnego budynku dyrekcji i administracji. Wszystko to mieściło się w dawnym budynku strzelnicy, nawiasem mówiąc budynku pięknym, położonym w dużym rozległym parku. Kilka spraw administracyjnych poprzedzonych zdziwieniem po co przyjechałem tak wcześnie i rozpoczęciem pierwszej samodzielnej pracy. Jak przyjąłem mój nowy zakład? Mówiąc szczerze dobrze, lepiej niż miasto. W olbrzymiej hali stało już sporo obrabiarek, widać było pierwszą produkcję. Dość szybko zorientowałem się, że załoga to zbiorowisko ludzi różnych zawodów. Skierowany do pracy w Dziale Głównego Mechanika, miałem okazję codziennego przebywania na produkcji, tam zresztą najlepiej poznaje się zakład.

Nacibórz nie miał żadnych tradycji kotłowych, a zdecydowano się wybudować tutaj Fabrykę Kotłów - bo taka miała być podstawowa produkcja zakładu - między innymi dla znalezienia dodatkowych miejsc pracy dla tysięcy ludzi z pobli-



skich okolic.

Godziennie przez raciborski dworzec przewijało się tysiące ludzi. Jechali w kierunku Chałupek, Kędzierzyna, Kuźni Raciborskiej, Rybnika - do pracy. Wojna zniszczyła nie tylko miasto, okupant zniszczył także zakłady pracy. Opowiadano, że te maszyny i urządzenia, których nie zdołano wywieźć palono palnikami gazowymi, albo zamano cięgarami. Pozostała zdewastowana stara Flania, czyli Zakłady Elektrod Węglowych, Gorzelnia, Cukrownia, i kilka starych cegielni.

W PWT-cie nikt nikogo nie pytał o zawód, wtedy liczyły się przede wszystkim dobre chęci. Zresztą od pierwszych chwil powstania zakładu wytworzyła się w nim prawie że rodzinna atmosfera. Warunki pracy zmuszały bowiem do tego by sobie wzajemnie pomagać.

Ci co znali rysunki, uczyli tych co widzieli je po raz pierwszy, a takich była większość. Byli wśród załogi chłopci z okolicznych wiosek, drobni rzemieślnicy, w tym także krawcy, cieśle, murarze, byli dawni pracownicy Elektrod, którzy nie mogli dłużej pracować w zapyłonych do granic ludzkiej wytrzymałości halach.

W tym zbiorowisku znalazłem się ja, młody chłopak pełen zapału, ale i pełen petrokacizny w głowie. Właściwie to były we mnie dwie dusze. Jedna, która pchała mnie do wszystkiego co nowe w zakładzie i druga która mówiła: "nie bądź frajerem, taka nowa budowa to doskonałe miejsce do obijania się. Dość się nauczyłeś, wypocnij teraz trochę." Ten wypoczynek miał oznaczać włóczenie się po zakładzie, znalezienie jakiegoś cichego kącika, gdzie można było spokojnie położyć się na trawie i wychylić twarz do słońca, czekanie aż się to wszystko rozkręci.

Nie będę kłamał, że ta druga natura czasami brała górę. O tym, że dość szybko jej się pozbyłem zdecydowałam przypadkiem. Przechodziłem kiedyś przez halę, a było to chyba w październiku, gdy po raz pierwszy zobaczyłem składanie dzwon zbiornika. Zapomniałem bowiem powiedzieć, że pierwszymi wyrobami fabryki były właśnie zbiorniki. Produkcja niby prosta bo i jej przeznaczenie nie było zbyt odpowiedzialne - po prostu zbiorniki przeciwpożarowe, ale od czegoś trzeba było zacząć. Przyszedłem akurat do brygady Szmalinty, gdzie dyskutowano o pewnym szczególe technicznym. Rysunek był trochę niewyraźny i trwał niegroźny spór o miejsce usytuowania otworu włazowego. Ponieważ wyniosłem ze szkoły pewne umiejętności czytania rysunków technicznych przyłączyłem się do dyskusji. W końcu udało mi się przekonać moich rozmówców, że otwór ma być tu a nie gdzieindziej. Pogadaliśmy jeszcze trochę, kiedy na halę przyszedł akurat Główny Konstruktor inż. H. [REDAKTOWANE]. S. [REDAKTOWANE] powiedział mi o co chodzi i ten po krótkiej chwili rzekł do mnie: Potrzebuję takich co znają się na rysunkach, może pan chciałby pracować w Zakładowym Biurze Konstrukcyjnym? Też pytanie czy chciałbym. Chcieć to chciałbym, ale czy potrafię. W Liceum to za dużo nie rysowałem, zresztą chodziłem do niego tylko 2 lata, po ukończeniu 10 klasy ogólniaka. Co będzie jak stwierdzą, że nie nadaję się na deskę? Pokusa jednak była zbyt silna. Powiedziałem, że bardzo bym chciał być konstruktorem.

Przeniesienie do Biura Konstrukcyjnego dostałem jednak dopiero za 2 miesiące, dokładnie pod koniec 1952 roku. W tym czasie zmieniłem dwa razy mieszkanie, bowiem to pierwsze na Słonecznej było niezbyt wygodne, szczególnie przy wchodzeniu do niego, zaś to drugie za duże jak dla trzech młodych techników.

Na Szlonecznej mieszkaliśmy na pierwszym piętrze w jedno izbowym mieszkaniu, do którego dostać się było można po wałujących się schodach. Z lewej strony bomba urwała całą ścianę, tak że widać było aż dno piwnicy ciągle zalane wodą, choć deszcze wtedy rzadko padały. Na dole mieszkała stara ślązaczka, która codziennie nas ostrzegała, że w końcu któryś z nas wpadnie do tej dziury po bombie. Meble też nie były zbyt wytworne: żelazne łóżko, jakaś szafa, kuchenny stół i kilka krzeseł. Najgorsze było zimno, które pomazu dawało znać o sobie. Stary kaflowy piec kopał jak sto diabłów przy każdej próbie rozpalenia, zaś dwa kocyki jakimiś kłody z nas rozporządzać nie bardzo grzały w chłodne listopadowe noce.

Później otrzymaliśmy mieszkanie niedaleko rynku. Przestronne, tylko dziwnie ponure. Mieściło się w starych kamieniczkach, które właśnie odrestaurowano. Najgorszy ze wszystkich pomieszczeń był korytarz, potwornie długi i szeroki. Chyba miał  $30\text{ m}^2$ . Co w takiej stodole było postawić - tego nam nie powiedziano.

Do tego czasu złączyliśmy już dość dokładnie poznać miasto. Pierwsze przykre wrażenie ustąpiło uczuciu, że tutaj coś się jednak robi. Cóżś w październiku rozmawiał z nami Przewodniczący MN, który zapoznał nas z historią miasta. Jego tradycje sięgały XI wieku. Przechodziło różne koleje losu, wielokrotnie palone i burzone, ciężko dźwigało się z ruin. Po wojnie 35<sup>tych</sup> budynków legło w gruzach. Ludności liczyło w 1945 roku niewiele ponad 3000. Mówił nam Przewodniczący, że na tych terenach



liczy się każda para rąk do pracy, że musimy przełamać bojaźń do osiedlania się na Ziemiach Zachodnich. Potem piękne roztoczył perspektywy: że za kilkanaście lat miasto Racibórz będzie liczyło 45 tys. mieszkańców, że buduje się nowe zakłady przemysłowe, osiedla mieszkaniowe, ośrodki kulturalne. Trochę wszystko wydawało się nie-realne, ale kilkanaście lat to długi okres czasu .....

Regularnie pisałem do Sosnowca do rodziców. Trochę ubarwiałem swoje listy, ale bałem się wymówek co do tej mojej samodzielności. Delikatnie napomynałem zawsze o nowy słoik smalcu, bo pieniędzy nigdy nie miałem za dużo. Mój pierwszy zarobek wynosił śmiech powiedzieć 475 zł. i straciłem go w niecałe dwa tygodnie. Pomoc Mamie w tym przypadku była konieczna. Później nauczyłem się systematyczności w gospodarowaniu, a z czasem za zaoszczędzone pieniądze udało mi się kupić pierwsze ciemne ubranie. Tuż przed maturą Mama kupiła mi materiał na garnitur, taki jasny w paski, z którego znajomy krawiec ze Staszica uszył mi moje pierwsze męskie ubranie. Jeszcze do dzisiaj pamiętam jak przyszedł do nas i powiedział: "Pani [ ] mówiła Pani żeby Mietkowi zrobić spodnie szerokie na 30 cm, a mnie się udało wykroić na 34 cm". Wyglądałem w tych spodniach jak pajac i byle wiatr zawijał mnie na wszystkie strony. Nawet nie wzięłem tego ubrania do Raciborza, mówiąc Mamie że za szkoda. Teraz mogłem sobie kupić za własne pieniądze takie ubranie jakie chciałem. Kosztowało mnie to ubranie jakieś 1200 zł. ale byłem z niego dumny. Trochę musiałem przy noszeniu uważać bo spodnie były typu "biodrówki" i przy byle okazji spadały z mojego chudego brzucha, ale poza tym było wszystko w porządku.

W grudniu napisałem, że przenieśli mnie do Biura Konstrukcyjnego i że pracuję teraz na stanowisku młodszego konstruktora. Brzmiało to niesamowicie poważnie, ale moja pierwsza praca wyglądała mniej poważnie. Przekonałem się bardzo szybko, że pismo techniczne znam tylko ze słyszenia. Opisywałem co prawda rysunki w Technikam, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie jak mało umiem. Rysunki wychodziły mi z reguły z boku albo powyżej środka arkusza, a litery rozkoślawiały się na wszystkie strony, jak by każda z nich miała chorobę św. Wita. Z innymi wiadomościami nie było lepiej. Trzeba było poznać gatunki stali, normy, katalogi. Najgorzej jednak było z tym pismem technicznym. Kierownik Działu XXXXXXXXXX, był bezlitosny. Dla niego rysunek to rysunek i koniec. Przez wiele następnych miesięcy dzień w dzień zapisywałem arkusze kalki Technicznej rządami liter. Wieraz nie czułem już ręki w przegubie, ale w końcu nauczyłem się ładnie pisać. To taka niby drobna rzecz. Ona jednak nauczyła mnie solidarności w pracy. Przez to pismo techniczne przekonałem się, że nikt nie rodzi się geniuszem i że do wszystkiego można dojść przez pracę.

W szkole byłem aktywnym działaczem Związku Młodzieży Polskiej, toteż po przyjeździe do Raciborza postanowiłem dalej działać w tej organizacji. Wstąpiłem do kółka artystycznego, które z czasem zacząłem sam prowadzić. Trochę zacząłem działać w sporcie, będąc zresztą sam czynnym zawodnikiem w lekkoatletyce. Z pierwszym naszym programem artystycznym wyjechaliśmy do Pawłowa koło Raciborza. Było w nim parę piosenek, jakiś skecz i wiersz satyryczny oraz kilka tańców. Występ odbył się w maleńkiej salce na scenie z ogromną górą z wypaczonej podłogi, był jednak udany.

Przy okazji poznałem paru traktorzystów i jednego mechanika. Znajomość z tym ostatnim była o tyle pożyteczna, że znał się doskonale na motocyklach, a jeden z moich kolegów przywiózł do Raciborza niewiadomo skąd stary motor. Prayrzekliśmy sobie, że jak tylko zacznie się wiosna, wyruszymy na zwiedzenie najbliższych okolic. Pomóc w tym nam miał właśnie ten traktorzysta, bo motocykl wymagał gruntownego remontu, jeżeli nie wymiany na inny. W pobliżu naszego mieszkania ulokowało się jeszcze 42 chłopaków z całej Polski, a były nawet 2 dziewczyny z kieleckiego: jedna chemiczka, a druga po Technikum Maszyn Rolniczych. Mieszkały razem i stroniły od naszego towarzystwa. Zakładaliśmy się nieraz co one robią wieczorami, ale zakłady pozostawały zawsze nie rozstrzygnięte, bo nie chciały zdradzić swej tajemnicy.

Gdzieś w połowie marca dostałem pierwszą samodzielną pracę - nieduży zbiornik na jakiś gaz. Zabrało mi to wszystko ponad miesiąc czasu, ale byłem z siebie zadowolony.

Z początkiem 1953 roku fabryka zaczęła przygotowywać się do podjęcia produkcji pierwszych kotłów. Jeszcze nie takich dużych, energetycznych, jednak to było już coś, na co wszyscy czekali. W jednej hali zaczynało być już ciasno, przybywało ludzi. W niecały miesiąc później zaczęto budowę dwóch nowych hal, budynku administracyjnego i biurowca dla personelu inżynierskiego i technicznego. Fabryka nabierała rozmachu. w tym pierwszym najtrudniejszym okresie uczyli nas robotnicy i inżynierowie z Sosnowca. Stary zakład kotłowy przysłał do Raciborza swoich najlepszych. Z Sosnowca był Szef Produkcji i Główny Technolog, z Sosnowca był Dyrektor Naczelny Zakładu.



Nasłuchiwałem się co niemiara o kotłach, tak że w końcu sam byłem ciekawy jak ten kocioł w rzeczywistości wygląda. Kotły znałem tylko z książek, a i to nie takie o jakich mówiono.

Ktoś przyniósł wiadomość, że Polska zaczyna stawiać na energetykę, że szykują się do budowy kilkunastu elektrowni, że wkrótce wyjadą na praktykę do Związku Radzieckiego pierwsi pracownicy z zakładu.

Tymczasem rozpoczęliśmy produkcję małych kociołków centralnego ogrzewania. Trzeba sprawdzić co wy potraficie - mawiał przybyły także z Sosnowca Kierownik Wydziału Kociarskiego S. [REDACTED]. Ta pierwsza kotłowa produkcja nie była zbyt udana. Kontrola sypała kartami braków. Rury zespawane z sitami ani rusz nie chciały na spoinach wytrzymać ciśnienia kilku atmosfer. Na błędach uczyli się jednak wszyscy, my z Zakładowego Biura Konstrukcyjnego, bo było nam już wstyd nanosić bez końca poprawki i ci z warsztatu bo nie należało do przyjemności ciągle poprawianie roboty, która już dawno miała być zakończona. Była w nas wszystkich jednak wiara, że to się musi udać. W tym okresie największy był problem ze spawaczami. Kocioł to nie zwykły baniak, który jak mówią spawacze "zasmarkasz" i będzie dobry. Tutaj co możesz ukryć przed ludzkim okiem przed promieniami Rentgena nie ukryjesz. Tak jak ja uczyłem się pisma technicznego, tak kilkunastu spawaczy uczyło się spawać. Dawano im blachy, kawałki rur, kształtowniki i spawali, a raczej uczyli się spawać. Ciężka to była szkoła, w której nie tylko zdolności się liczyły.

Pomaku jednak ten cały, duży organizm, jakim jest zakład zaczął pracować bez większych zgrzytów. Zbudowaliśmy kilkanaście kotłów typu La Monta dla Płocka, Nowej Huty, Warszawy i Śląska. Potem przyszła kolej na kotły przemysłowe i wreszcie na pierwszy kocioł dla Wielkiej Energetyki: OP-230 dla Elektrociepłowni Żerań. Dokumentację otrzymał Zakład ze Związku Radzieckiego. Przed Zakładowym Biurem Konstrukcyjnym postawiono zadanie: w jaknajkrótszym czasie adaptować dokumentację do możliwości wykonawczych

zakładu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem jak wygląda prawdziwy kocioł. Olbrzymie płachty rysunków gęsto pokryte siatką, linii wyobrażające rury straszyły i przyciągały. Musieliśmy tak zaprojektować i wykonać elementy kotła, by zmontowane w Elektrociepłowni pracowały bez awarii.

Były masówki, zebrania, a z Warszawy przyszedł list: ze Stolica czeka na nasze kotły, że to ciepło dla miasta, dla tych wszystkich, którzy budują Warszawę.

Mażo mi czasu pozostało w tym okresie na moje prywatne życie. Dziewczyna z którą chodziłem coraz częściej zaczęła przebąkiwać, że ją lekceważę, Mama przysłała sążnisty list, w którym zapytywała co się dzieje, że nie przyjeżdżam do Sosnowca. Kiedy jej odpisałem, że całe Biuro siedzi i rysuje pierwszy polski kocioł na licencji radzieckiej, przysłała do mnie ojca żeby sprawdził, czy ten kocioł nie ma przypadkiem 19 lat i długich włosów. Ojciec przyjechał, zobaczył, a że spotkał tu kilku dawnych znajomych od Piątkowskiego z Sosnowca, /gdzie też pracował przed wojną/ wypił z nimi cośkolwiek, przegadał całą niedzielę i wyjechał zadowolony.

"Piękny macie Zakład - powiedział - trochę już jestem stary bo sam bym się tutaj przeniósł na stałe".

Pod koniec roku dokumentację przejął Główny Technolog, zaś na wiosnę 1954 roku zaczęliśmy wykonywać pierwsze detale energetyczne giganta. Rok 1953 zleciał nie wiadomo kiedy. Nie wykorzystałem urlopu, nie pojeżdżaliśmy na starym motorze kolegi, ale byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. Kiedy na Boże Narodzenie przyjechałem do Sosnowca, zadzwoniłem głową do góry i mówiłem kolegom: "To barachało które tu robicie to nazywacie robotą. Kotły, to jest robota" !

Pod koniec 1953 roku wstąpiłem do partii. Tak bez żadnej agitacji. Po prostu myślałem że dobrze zrobię jak wstąpię. Pytano mnie o pochodzenie, więc powiedziałem, że ojciec robotnik z Sosnowca, a matka chłopka z Sierosławie koło Krakowa. Nadmieniałem nawet, że ojciec od samego początku w Partii, że niedawno dostał Złoty Krzyż Zasługi, więc i ja chcę być jego godny.

Przyjęto nas wtedy 6 młodych i jeszcze kilku robotników. Organizacja Partyjna nie była wtedy duża, liczyła niewiele ponad 100 członków, ale na każdego spadała ogromna praca. Dość że roboty w zakładzie było moc, to jeszcze wyjeżdżaliśmy raz po raz na wieś. A to chłopów trzeba było uświadamiać, żeby zakładali Spółdzielnie Produkcyjne, też znów przysyłać zapotrzebowania na referaty i pogadanki polityczne. A i w samym zakładzie Organizacja Partyjna miała pełne ręce roboty. Zakład po mału wychodził z niemożliwego do uniknięcia chaosu organizacyjnego. Nie wszystkie usterki zdołano jednak usunąć na czas. Trzeba było uczyć ludzi cierpliwości, której niejednokrotnie nam samym w końcu brakowało.

W marcu 1954 roku poznałem K[REDAKOWANE]. Mieszkała z ciotkami w pobliskiej Kuźni Raciborskiej, a w Raciborzu kończyła Technikum Chemiczne. Była sierotą, przybyłą na Zachód aż spod Lwowa. Rodziców zabili Niemcy, z ich rąk zginął także jej brat i młodsza siostra. Byłem w niej nieprzymiennie zakochany. Nie tylko dla tego że była bardzo ładna, lecz wzruszył mnie jej los, w którym wojna wyznaczyła najokropniejszą rolę. Chodziła zawsze skromnie ubrana, przeważnie w płaszczu samodzielnym i bereciuku na czarnych włosach. Żeby być z nią dłużej jeździłem wieczornym pociągami do Kuźni Raciborskiej a potem odprowadzałem ją aż pod dom.



Rodzina od samego początku była do mnie wrogo ustosunkowana. K[REDAKOWANE] miała narzeczonego starszego od niej o 15 lat, ale za to posiadającego gdzieś w poznańskim willę. Ja, chudy jak patyk nie lepiej wyglądający finansowo nie byłem odpowiednią partią. Wieszano na mnie psy, wyzywano kiedy podchodziłem pod dom, ale to wszystko coraz bardziej zbliżało nas do siebie. W czerwcu K[REDAKOWANE] skończyła Technikum a ja w lipcu wyjechałem na urlop do ciotki do Sierosławia. Pisałem do niej długie listy i czekałem dnia aby wrócić do Raciborza. Zaraz po przyjeździe ogromne rozczarowanie i zawód, K[REDAKOWANE] zerwała ze mną. Powiedziała mi o tym jej koleżanka, prosząc o wyrozumiałość, że jednak co willa to willa a nie niepewny los z technikiem z nakazu pracy. Po otrzymaniu tej wiadomości schlałem się jak świnia, a potem pod białym pozorem pobikem się z jednym krakusem. Pewnie, że wiem, że to niepoważnie i niersądnie, ale przecież piszę pamiętnik, więc i takie rzeczy ze swojego życia muszę odnotować. Nie rozweselił mnie nawet awans jaki, otrzymałem za udział w pracy na stanowisku konstruktora, ani spora premia, którą otrzymałem za udział w adaptacji dokumentacji radzieckiej kotła dla Elektrociepłowni Żerań.

Byłem zawsze bardzo pobudliwy i uczuciowy. Przeżywałem boleśnie każdą moją porażkę i cieszyłem się jak dziecko z każdego sukcesu. Mój stan psychiczny wypisany był zawsze na twarzy, ten widoczny był aż nadto wyraźnie. Robota jakoś nie bardzo mi się kleiła, czekałem że wysiadę przy pierwszej lepszej okazji.

Ukończono już budowę drugiej hali produkcyjnej. Ze Związku Radzieckiego zaczęły nadchodzić pierwsze transporty z częściami olbrzymiej prasy hydraulicznej. Zlikwidowano biuro w starej strzelnicy, a my przenieśliśmy się do nowego budynku na terenie zakładu. W strzelnicy odnowionej i wyposażonej w nowy sprzęt otwarto Zakładowy Dom Kultury.

Każdy miesiąc przynosił również nowe zmiany w mieście. Na rynku stanęły pierwsze drewniane rusztowania - przystąpiono do odbudowy raciborskiej Starówki. Wyburzono stare, waliące się domy za kościołem, po drugiej zaś stronie zaczęto wznosić pierwsze domy przy ulicy Nowej. Niedaleko od rynku na ulicy Chopina otwarto Miejski Dom Kultury z salą teatralną na 800 miejsc, klubem i kawiarnią. Od paru lat czynna była raciborska "Strzecha" - sławny dom spółdzielczy grupujący w czasach największej germanizacji Polaków z całego terenu. Już nie było nudno wieczorami, chociaż chęci do robienia czegokolwiek za dużych nie miałem.

K[REDAKOWANE] pracowała jako laborantka w Zakładach Elektrod Węglowych w Raciborzu, jednak nie miałem odwagi by do niej zadzwonić albo wyjść na stację w czasie kiedy jechała do domu. Wieczory spędzałem na spisywaniu historii naszej znajomości. Uzbierało się tego sporo, bo cały gruby brulion, który przechowuję do dzisiaj jako najpiękniejszą pamiątkę z lat mojej młodości. W Biurze dostałem nową ciekawą pracę - tłumaczenie z języka rosyjskiego instrukcji obsługi prasy hydraulicznej. Znałem dość dobrze język rosyjski, więc mimo trwającej w dalszym ciągu apatii postanowiłem solidnie się zabrać do roboty. Byłem teraz coraz częstszym gościem na wydziale tłoczni /bowiem tak znano nową halę produkcyjną/. Miano rozpocząć całkiem nową produkcję tłoczenia den. Znowu nowość a z nią nowe kłopoty i problemy. W prasie ukazała się notatka, że raciborska fabryka jako pierwsza w kraju rozpoczęła produkcję dla polskiej energetyki a za nie całe pół roku rozpocznie produkcję den. W ogóle byliśmy oczkiem w głowie dziennikarzy i reporterów. Kędzierzyńskie Azoty przejadły się już czytelnikowi, a Kotły Racibórz /bo Takim

terminem zaczęto coraz częściej określać nasz zakład/ były typowym przykładem budowy socjalistycznego zakładu. Pisano więc o zakładach, na których jeszcze niedawno pasły się krowy - /a tak było rzeczywiście/ o wysiłku całej załogi, by sprostać nałożonym zadaniom. Montowana prasa hydrauliczna dawała pojęcie nowoczesności i potęgi polskiego przemysłu. Jak będzie wyglądała na niej produkcja?

Najnie spodziewaniej w połowie grudnia odezwała się K[REDAKOWANE]. Rezultatem spotkania był wyjazd na Boże Narodzenie do Sosnowca, zaś w kwietniu 1955 roku ślub. Ciotka przeklinała nas na wszystkie możliwe sposoby, ale robiliśmy sobie z tego tyle co kot napłakał. Złożyłem natychmiast w zakładzie wniosek na mieszkanie i już za trzy miesiące otrzymałem klucze do własnego gniazda, właśnie w nowych blokach przy ulicy Nowej. Był duży pokój, kuchnia z gazem i przestronna łazienka. Pamiętam dobrze, że pierwszym naszym meblem była lampa nocona z kloszem, który trzymała w rękach dziewczyna z porcelany. Postawiliśmy ją na oknie i wtedy ten gołutki pokój wydawał nam się najpiękniejszym pałacem na ziemi. W sierpniu pojechaliśmy na pierwsze mażeńskie wczasy, zaś we wrześniu kiedy kończył mi się nakaz pracy, podjęliśmy wspólną decyzję, że zostaniemy w Raciborzu. I wcale nie dlatego, że mieliśmy mieszkanie. Po prostu zaczynało nam się tutaj podobać. Kupiliśmy na raty nowe meble, najważniejszy sprzęt, piękne radio. Po to ostatnie jeździłem aż do Sosnowca, gdzie znajomy ojca, górnik odeprzedał mi talon do sklepu górniczego. Tak, Tak, radia były wtedy na talony i to nie zawsze można było je otrzymać.

Rok 1956 rozpocząłem od dwóch pomyślnych wiadomości: w lutym otrzymałem kolejny awans na starszego konstruktora, a w maju K[REDAKOWANE] powiedziała mi w tajemnicy, że około listopada powiększy nam się rodzina. Kupiłem jej za tę wiadomość



najpiękniejszy bukiet kwiatów, zaś najbliższe kilka wieczorów spędziliśmy na marzeniach o naszym przyszłym życiu rodzinnym.

W tymże roku popełniłem jedno największe głupstwo w życiu. Po wydarzeniach październikowych z całą świadomością dopuściłem do tego by mnie skreślono z Partii. Jak już pisałem byłem dość wrażliwy na zachodzące wokół mnie wydarzenia. Jeszcze w 1955 roku kiedy został poddany druzgocącej krytyce kult Stalina, byłem bliski rozpacz. Przecież przez tyle lat wierzyłem w niego jak w Boga. W szkole śpiewaliśmy pieśni opiewające na wszystkie możliwe sposoby jego osobę, uczyliśmy się na pamięć jego życiorysu, na imieniny własnoręcznie wykonywaliśmy dary, które wysyłano na jego adres. Potem przyszedł ten ciężki do zrozumienia referat Chruszczowa, który wysłuchałem w całości w Komitecie Powiatowym w Koźlu. Brak prawdziwej informacji odgórnej przynosił tragiczne wręcz skutki. Na początku wydarzeń październikowych w Poznaniu, mówiono nam że wystąpienia są dziełem grupy rozrabiaczy i chuliganów, zaś za kilka dni okazało się że była to demonstracja klasy robotniczej, i to demonstracja całkowicie szumszna. Jakże bardzo był wtedy potrzebny ktoś, kto by umiał powiedzieć jak jest naprawdę. Puszczono wszystko na żywioł. Dawaliśmy upust swojej bojowości w krytyce wszystkiego co dotychczas zrobiono. W zakładzie odbywały się burzliwe długogodzinne zebrania, wlewano kubły dyskusyjnych pomysłów na dyrektorów zakładu, wytykano im brak wykształcenia, dzierżymordstwo i wszystkie możliwe grzechy główne. Zapomniano, że przecież byli to ludzie którzy choć bez wykształcenia potrafili kierować zakładem w jego najcięższym okresie, którzy będąc kiedyś robotnikami, nie za piękne oczy ale za swą postawę społeczno-polityczną wyniesieni zostali na szczyt hierarchii zawodowej. Były także głosy

urągające Partii, bo wtedy spora liczba osób utożsamiała Partię z grupą ludzi, którzy tak wiele narobili w jej imieniu krzywdy. Wydarzenia polityczne nie wpłynęły jednak w zasadniczy sposób na produkcję zakładu. Pomyślnie zakończyliśmy produkcję pierwszego kotła energetycznego dla Elektrociepłowni Żerań. Po pierwszym próbnym okresie rozkręcała się produkcja den. W zakładowym Biurze Konstrukcyjnym zaczęto poważnie myśleć o opracowaniu kotła całkowicie polskiej konstrukcji, na co jednak przyszło nam jeszcze trochę poczekać. Do zakładu przybywało z różnych stron Polski coraz więcej ludzi. My czując się już starymi pracownikami, patrzeliśmy trochę z góry na tych żółtodziobów rozglądających się za wszystkim ciekawie. Z Krakowa przyjechało kilkunastu techników, Politechnika Wrocławska zasilila zakład grupą inżynierów ze specjalnością kotłową. Większość z nich pracuje do dzisiaj w fabryce, nierzadko na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach. Pamiętam doskonale młodych chłopaków, K[redacted], Ch[redacted], Sz[redacted], dzisiaj Gł. Konstruktor, jego zastępcę i Zastępcę Dyrektora d/s Technicznych. Każdy z nich przechodził w zakładzie drogę podobną do mojej, o tyle może lepszą, że wspieraną cenzusem wyższej uczelni.

W tym czasie połącząłem bakcyli wynalazczości. Zdrowy to był bakcyli dla mnie i potrzebny dla zakładu. Zaczęło się wszystko od małych kociołków KCO-30, których w tym okresie produkowaliśmy dziesiątki sztuk. Na nich właśnie, jak na dłoni widać było starą prawdę, że nie można być dobrym konstruktorem bez dokładnej znajomości możliwości wykonawczej zakładu. Projektowali te kociołki konstruktorzy jednego ze znanych Biur Projektowych i w praktyce dawały nieograniczone możliwości racjonalizatorom. Gdyby policzyć wnioski racjonalizatorskie jakie złożono na te biedne malenstwa, to z pewnością uzbie-

rałoby się tego ponad 100 sztuk. Składali je przede wszystkim robotnicy, którzy swój pierwszy chrzest bojowy mieli już dawno za sobą i teraz potrafili ulepszać konstrukcję i technologię, zastępować typowymi śrubami detale wymagające obróbki wiórowej, znajdować możliwości zaoszczędzenia materiału i robocizny. Mój pierwszy wniosek był bardzo prosty i przynosił niewielkie oszczędności. Dla mnie był jednak najważniejszy - bo pierwszy. Dostałem za niego 460 zł., które odłożyliśmy na wózek dla mającego się wkrótce urodzić bobaska. Ela urodziła się w listopadzie. Kiedy przyszedłem do szpitala pielęgniarka zawiązała jej czerwoną wstążkę we włosach/urodziła się bowiem z włosami tak czarnymi, że trudno było sobie czarniejsze wyobrazić/. Dom zaroił się od pieluszek. Chcąc nie chcąc nauczyłem się prać małeńkie kaftaniki a nawet prasować maciupienkie koszulinki.

Biuro Konstrukcyjne rozrastało się coraz bardziej. Tworzono nowe działy, zachodziła potrzeba ściślejszej niż dotychczas specjalizacji. Zakład zaczął obok kotłów przemysłowych i energetycznych, na które piętrzyły się stosy zamówień, produkować również aparaturę chemiczną i ciepłowniczą. Otrzymałem propozycję przejścia do nowego Działu Aparatury. Propozycja wiązała się z dalszym awansem zawodowym i nowymi możliwościami pracy projektowej. Była to praca o tyle ciekawa, że prowadzona w ramach jednego działu w całości, gdy tym czasem kocioł projektowało wiele działów, ściśle zresztą współpracujących ze sobą. Dodatkowym dopingiem było i to, że aparaturę wykonywano w całości w zakładzie. Można więc było śledzić wykonawstwo od pierwszych postruganych blach, aż po malowany wyrób leżący na podkładach gotowy do wysyłki. Nie zrywałem w ten sposób kontaktu z kotłami, bowiem projektowane przez nas wyroby przygotowywały między innymi wodę dla kotłów.



Trzeba więc było współpracować z całym Biurem Konstrukcyjnym. Z początku 1957 roku złożyłem prosty, ale przynoszący duże oszczędności wniosek racjonalizatorski. Zaproponowałem uzasadniając to obliczeniami wykonanie den bezciśnieniowych z innego niż dotychczas materiału. Wniosek wywołał wiele dyskusji, pisaniny, ale po roku został przyjęty i wprowadzony do produkcji. Wybiegam trochę myślami wprzód, a tymczasem do nowego 1958 roku wydarzyło się jeszcze wiele w moim życiu.

Moje odejście z Partii nie oznaczało definitywnego zerwania z organizacją. Nie potępiano mnie za to, ale i nie proszono bym wstąpił na powrót. Sekretarz Prędkiej, którego znałem od lat zaproponował mi kiedyś bym spróbował swoich sił w radiowęzle zakładowym. Zakład liczył już wtedy ponad 1000 ludzi. Potrzebna była rzeczowa informacja o tym co się w nim dzieje, a także o tym co dzieje się w Polsce i w świecie. Zgodziłem się na tę propozycję bez żadnych zastrzeżeń, prosząc tylko by dano mi możliwość wyboru tematów. K[ ] trochę pokrzyzczała w domu, że zamiast się zajmować rodziną biorę sobie dodatkowe obowiązki na głowę. Wytkłamałem jej jednak, że człowiek nie może żyć tylko dla siebie. Jeżeli mogę być przydatny i dla innych, to czemu mam pozostawać bierny. Ta czynność szła zresztą przez całe moje życie. W dzieciństwie były to książki, które pochłaniałem jedna za drugą, nieco później majsterkowanie, potem w gimnazjum i technikum działalność społeczna. Ciągnęło mnie do ludzi, do tych którzy coś robią. Wstydziłem się wtedy tego 56 roku i pochopnej decyzji. Moja nowa praca społeczna miała wykazać, że był to jeden nierozważny krok i nic więcej.

Do pierwszej audycji wybrałem temat drażliwy: Grupa stazystów z Krakowa powyrywała kilkadziesiąt drzewek zasadzonych na poboczach drogi prowadzącej do zakładu. Traktowali tę zabawę jako wyczyn godny upamiętnienia w kronikach zakładu, należa-

że więc solidnie im zmyć za to głowę. Ostrzegano mnie nawet, że mogą otrzymać za to poładny wycisk. Nie przejmowałem się tym jednak zbyt, bo moje 184 wzrostu i długoletnia zaprawa w bójkach dzielnicowych w Sosnowcu dawały mi trochę pewności siebie. Audycja została nadana, po niej odbyło się posiedzenie Rady Zakładowej. W efekcie stażysty otrzymali nakaz posadzenia wszystkich drzewek z powrotem, a poza tym każdy z nich otrzymał upomnienie na piśmie. Boczyli się na mnie chyba z pół roku, ale w końcu dali spokój. Wycisku też nie było. Wielokrotnie zastanawiałem się jak dużo zależy od właściwego startu życiowego. 18,19 lat to okres, w którym wszystko wydaje się inne niż jest w rzeczywistości. Nie byłem nigdy ani lepszy ani gorzej od innych. Był okres kiedy mając 16 lat zacząłem namiętnie grać w karty. Popołudnia zamiast nad książką spędzałem na ławkach, moją edukacją były oczko i poker. Ohodziłem jak inni na jabłka do cudzych ogrodów i wcale nie przyszło mi do głowy, że to jest zwykła kradzież. Matka miała nas troje i każde z nas przysparzało jej kłopotów na swój sposób. Ze mną był najgorszy problem właśnie z kartami. Ale to co mogło mnie wykołbać najniespodziewaniej w świecie zrobiło ze mnie człowieka. W karty grali z nami starzy szulerzy, którzy mówiąc otwarcie żyli z nas, „Codzienne wygrane po 10, 20 zł. od każdego z nas, przeznaczone były na wódkę. My te 20.- złotych nie zdobywaliśmy nigdy w uczciwy sposób. Czasami oszczędzałem na kinie, książkach, zeszytach, najczęściej jednak podbierałem pieniądze matce. Jakies pół roku przed maturą ukradłem mamie ostatnie 100 złotych jakie miała na życie. Myślałem, że ona więcej i nie zauważy. Nie miała. Nie powiedziała mi ani słowa, nie skrzyczała mnie, stwierdziła tylko, że jej bardzo przykro i że do pierwszego będziemy żyli samym chlebem i mlekiem co udoi od kozy. Potem poszła do pokoju i zamknawszy

się płakała. I w tym dniu zrozumiałem, że być człowiekiem, to znaczy być całkiem innym. Wtedy przyrzekłem sobie, że nie wezmę nigdy do ręki kart i postaram się nie wyrządzić nikomu krzywdy. Jak dotychczas, a minęło od tego czasu już prawie 20 lat słowa dotrzymałem. Piszę to dlatego, żeby móc stwierdzić, że ja rozumiałem moich młodzieńskich kolegów. Być może parę lat temu bym się do nich przyłączył, bo i mnie się w Sosnowcu trzymały nie gorze kawały. Dziś jednak było dla mnie jasnym, że trzeba było postąpić tak jak postąpiłem.

Piszę tak dużo rzeczy refleksyjnych, ale one w jakiś sposób określają moją osobowość, mój charakter. Byłem przecież tak jak inne dzieci, młodzieńcem w miarę spokojnym, w miarę rozbrykanym i dopiero długie lata obcowania i pracy z ludźmi wskazały mi właściwe kierunki postępowania. Nie urodziłem się aniołem i ani przez chwilę nim nie byłem, starałem się jednak postępować - przynajmniej od pewnego okresu mego życia - tak, bym nigdy później nie musiał się wstydzić przed samym sobą. Wiem, że można swoje postępowanie ukryć przed ludźmi, ale przed sobą niczego ukryć się nie da.

Zacząłem więc pracować społecznie w radiowęźle. Nadawałem co tydzień jedną pogadankę i parę mieszanych audycji. Może dlatego że byłem od początku bezkompromisowym w swych wystąpieniach, nie szczędząc gorzkich słów tak pracownikom jak i dyrekcji a przy tym umiejąc wyszukać wśród fabrycznego życia fakty pozytywne, pracuję w tym samym radiowęźle do dzisiaj. Nie jestem już jak niegdyś sam. Mam do pomocy spory zespół, w tym kilku młodych - jak ja niegdyś zapaleńców. Po dawnemu jednak tematem audycji pozostały przede wszystkim ludzkie sprawy.

Moja funkcyjka nazywa się: przewodniczący Komitetu Redakcyjnego, a mam i z niej dużo satysfakcji, szczególnie



wtedy, gdy nieznani mi ludzie zaczepiają mnie i zaczynają rozmowę. Niektórzy pytają czy nie dostanę za to czy inną audycję budy, w której za dużo powiedziałem krytycznych słów pod adresem kierownictwa zakładu, /muszę im wtedy tłumaczyć, że jak dotychczas wszystko jest w porządku/ jeszcze inni dziękują mi za poruszenie spraw trapiących wydział czy nawet wąskie grono osób.

Sekretarz Partii nieraz zacierał ręce i mówił: "Wal jak widzisz coś złego i niech ci ktoś próbuje coś zrobić, to ja mu pokazę".

Jeszcze pod koniec 56 roku przyjechali do naszego zakładu Koreańczycy z Koreańskiej Republiki Ludowej. Mali, czarni, stwarzający pozory młodzieńców, którzy kilka miesięcy temu opuścili mury średniej szkoły. Przyjechali zakontraktować kilka kotłów dla swojego kraju.

Kocioł dla Żerania - choć pierwszy w historii zakładu - był już ukończony, ale równolegle z nim zakład wyprodukował kilkanaście mniejszych kotłów typu OK-32 i OKR-3. Można więc było rozmawiać z przedstawicielami Korei na temat dostaw do dalekiego, wschodniego kraju. Gdyby mi ktoś 4 lata temu powiedział, że w 1956 roku zaczniemy nawiązywać kontakty eksportowe, wyśmiałbym go z miejsca. Kto miał robić ten eksport, - zbierająca ludzi różnych zawodów, ludzi z których nie jeden widział tokarkę po raz pierwszy w życiu? A jednak cztery lata to dużo w życiu zakłogi. Jedni jak ja uczyli się prawidłowo pisać technicznym piśmem, drudzy na warsztacie uczyli się spawać, posługiwać nowoczesnym sprzętem. Teraz stanęliśmy przed najcięższą próbą - nasze wyroby miał sprawdzić odbiorca zagraniczny. I tak sami nawet nie wiedząc kiedy wkroczyliśmy w nowy etap rozwoju fabryki. Wraz z kotłami mieliśmy wysłać do KRL rów-

niez aparaturę chemiczną, której opracowania podjęliśmy się we własnym zakresie. Kiedy wspominał dzisiaj tamten okres, robi mi się jak wtedy gorąco. Dzielikiem wtedy solidnie czas między dom i fabrykę.

W domu córka rosła jak na drożdżach, żona jeszcze do niedawna tak dziewczęca, przekształciła się po jej urodzeniu w śliczną młodą kobietę, a w fabryce jak z córką pieściłem się z każdym detalem mającej się w krótko rozpocząć produkcji eksportowej. Przybywało nam trochę sprzętów i rzeczy do domu. Żona niewiadomo skąd jej to się wzięło zaczęła mnie uparcie namawiać byśmy rozpoczęli oszczędzanie i za dwa trzy lata kupili sobie porządny motocykl. Niedaleko od Raciborza pełno było wokół uroczych miejscowości wypoczynkowych: Turawa, Pokrzywna, Buk a nieco dalej Beskidy. Cóż było robić? Usłuchałem żony i zaczęliśmy co miesiąc odkładać po kilkaset złotych, by za ileś tam miesięcy nie być zależnym od zakładowych samochodów ciężarowych. Pisałem, że było mi gorąco w okresie wykonywania pierwszej produkcji eksportowej. Gorąco było nie tylko mnie.

Koreańczycy przysłali własnych inżynierów, którzy nadzorowali całą produkcję. Młodzi to byli ludzie, ale wiadomości fachowe mieli do pozazdroszczenia. Umieli doskonale po rosyjsku, więc często rozmawialiśmy z nimi na wszystkie możliwe tematy. Nasze miasto przypominało im ich daleki kraj. U nich też niedawno skończyła się wojna i tak jak i u nas obok nowych domów, zakładów pracy, sterczały walące się domy, gruzy, na których miejscu trzeba dopiero zaczynać od nowa. Zakład stawał dosłownie na głowie by kotły dla Korei wykonać jak najlepiej. Mobilizacją dla nas był przyjazd następnych delegacji zagranicznych: z Indii, Jugosławii, Ceylonu i Chin Ludowych. To co teraz robiliśmy było lepszą reklamą od tysięcy zapewnień,

że zrobimy im kotły nie gorsze niż z renomowanych firm zagranicznych.

Z Cejlona przyjechał do nas dr H. [REDACTED] - tak się dziwnie nazywał. Mamy do dziś jego wpis w Kronice Zakładu: "Wasz zakład to piękny pomnik pracowitości Polaków. Jestem zachwycony Waszą gościnnością i poziomem techniki". Tak napisał o nas, którzy jeszcze tak niedawno uczyli się technicznego abecadła. W tymże samym 1957 roku podjęto ryzykowną, choć prze-myślaną decyzję: dla Elektrociepłowni - zóde projektujemy kotły sami. Przyjechał do Raciborza znakomity teoretyk kotłowy profesor Wróblewski z Politechniki Wrocławskiej i zapewniając, że pod koniec roku przyśle do nas następną partię swych wychowanków zachęcał do podjęcia takiej właśnie decyzji. "Jeżeli nie zaczniecie sami projektować, to nigdy nie będziecie dobrym zakładem kotłowym. Moja uczelnia pomoże Wam w jak najszerszym zakresie, musicie jednak zacząć wierzyć we własne siły, w młodych inżynierów, którzy swą wiedzę zdobyli na tych właśnie ziemiach". Tak mówił stary Profesor, który gdy my w 1950 roku rozpoczynaliśmy w Raciborzu budowę zakładu, on we Wrocławiu jeszcze bardziej zniszczonym w 1947 zaczynał pracę w Katedrze Kotłów Parowych. I znów wybiegając myślą w przód stwierdzić należy, że w Profesorze Wróblewskim zakład do dziś ma oddanego przyjaciela i doradcę. Przyjeżdża do nas przynajmniej raz w roku i nigdy nie zapomni zapytać jak się sprawują jego dawni studenci. I niezmiennie otrzymuje tę samą odpowiedź: "dobrze się sprawują Panie Profesorze".

Rok 1958 rozpoczął się dla mnie i całej załogi Fabryki Kotłów - bo taką nową nazwę oficjalnie przyjął zakład - pod złą gwiazdą. Po raz pierwszy od daty powstania zakładu zaczęliśmy odczuwać na własnej skórze skutki niepełnie wyszkolonej załogi.



Niby wszystko szło dalej dobrze, ale raz po raz wyskakiwały szczępy dziury, które nie było czym łątać. Mimo olbrzymich wysiłków konstruktorów zaczęła się piętrzyć robota w Biurze Konstrukcyjnym. Opóźnienie zanotowano także w wysyłce dokumentacji na warsztat. Nie pisałem o tym, ale to oczywiste, że z roku na rok rosły plany produkcyjne. Na złożone przez nas oferty energetyczne, Energetyka odpowiadała dodatkowymi wymaganiami, zastrzonym odbiorem materiałów, żądano podniesienia sprawności kotłów. W tym czasie zakład szedł szerokim frontem robót, jednocześnie w produkcji znajdowało się 6 prototypowych kotłów, nie licząc aparatury i nowych asortymentów. Był to okres trudny również dla miasta. W ramach łączenia rodzin kilkaset osób wyjechało do Niemiec, co dawało okazję do niewybrednych komentarzy pod adresem naszego kraju. Uświadamianie było tylko małą częścią tego, co trzeba było zrobić, by utrzymać dotychczasową pozycję zakładu. Do tego doszły jeszcze trudności w planowaniu produkcji, którą to umiejętność zdobywa się w ciągu wielu lat pracy. Po raz pierwszy zakład nie wykonał planu w I i II kw. 56 r. Jak w takim wypadku zwykle bywa co szabsze jednostki zaczęły nagle tęgnąć się z zakładem, szukać możliwości większego zarobku poza terenem Raciborza. Uruchomiono co prawda w tym roku przyzakładową szkołę zawodową, ale jej pierwsi absolwenci mieli zasilić zakład dopiero za trzy lata. To był okres kolejnej i chyba najcięższej próby dla zakładu. Z jednej strony wszyscy od robotnika do dyrektora zdawali sobie sprawę, że na raciborskie kotły czeka cała Polska, a z drugiej strony coraz wyraźniej zarysowywać się zaczynała groźba kompletnego rozkoślenia planu. Dla wielu ludzi nie było wtedy rzeczy ważniejszej niż zakład. Nikt nie policzy tych przekleństw jakie spadły w domach Głównego Spawalnika inż. Kazimierza Kajzera,

Głównego Technologa Edwarda Drygałskiego, Kierowników wydziałów, Konstruktorów i Technologów, najbardziej ofiar-  
nych robotników. Przeklinały oczywiście ich żony i dzieci,  
bo byli oni naprawdę gośćmi w domu. Wszyscy jednak postawili  
na ten zakład. Tutaj ocoraz wyraźniej widzieliśmy swoje drugie  
miasto rodzinne, tutaj urodziły się nasze dzieci, które w ma-  
trycy urodzenia w rubryce miejsce urodzenia miały napisane  
Macibórz. Nie bardzo chciało nam się opuszczać to miasto, w  
którym tak pięknie kwitną w starym parku magnolie, które pracowit-  
ością swoich obywateli wzbudzało zachwyt i zdumienie przybyszów.  
To prawda, że przez okrągły rok przyniosłem do domu golutką  
pensję. Prawdą jest jednak i to, że w życiu człowieka nie pie-  
niądze są rzeczą najważniejszą. W tej walce o plan, o dobre  
imię załogi nie byliśmy osamotnieni. Centralne Biuro Konstru-  
kcyj Kotłowych w Tarnowskich Górach przysłało na nieograniczo-  
ny okres czasu 20 konstruktorów, stare Sosnowieckie Kotły  
kilkudziesięciu pracowników, z których każdy zjadł sęby na  
kotłach. Najważniejsze w tym wszystkim było to, że nie zała-  
mywaliśmy się. Kilku z tych młodych krakusów, tych właśnie co  
to kilka lat temu wyrwali drzewa zgłosiło się do pracy w pro-  
dukcji. Jakby w odpowiedzi na sarkanie i narzekanie części  
załogi, w połowie 58 roku kilkudziesięciu robotników z produ-  
kcji wstąpiło do Partii. W tym czasie nie był to tylko zwykły  
gest propagandowy, to był akt wiary we wspólną siłę załogi.  
Otrzymaliśmy również pomoc z zagranicy. Związek Radziecki  
przysłał grupę specjalistów, którzy razem z naszymi robotni-  
kami, brygadami G..., K..., K... zaczęli tró-  
czyć pierwsze polekie dla okrętowe dla polskich stoczni.

To są już odległe czasy i wiele faktów pozacierza się  
w mej pamięci, nie wiem przeto czy te kilkanaście zdań choć

w małym stopniu oddaje atmosferę tamtych dni. Pozostały o nich wspomnienia w kronice zakładu, w której rok 1958 zakończono zapisem: "zakład nie wykonał planu rocznego". W roku 1959 najważniejsze zadanie stojące przed zakładem to Elektrownia Turów. Turów Turowem, a E[ ] - moja córka ukończyła już dwa lata. Ani się obejrzałem jak zaczęła chodzić, gaworzyć, dopraszać się pierwszych przywilejów dla siebie.

Chudy 1958 rok odsunął nieco nasze marzenia o motocyklu. Na książeczce od prawie roku widniała jedna i ta sama suma. W tym tak napiętym okresie coraz częściej zaczęły mi chodzić po głowie studia wyższe. "Kolonja Staszio" gdzie się urodziłem i wychowałem to prawie w 100% robotnicy. Kiedy skończyłem liceum, zdobywając jak się mówiło dużą maturę, uważałem to za szczyt tego co mi do życia potrzebne. Po kilku latach pracy zrozumiałem, że jeżeli choć dokonać czegoś w życiu muszę się ułożyć. Awansowałem co prawda na kierownika sekcji w Biurze Konstrukcyjnym, zdawałem sobie jednak sprawę, że już niebawem kończą się szczeble drabiny, po której mogę awansować. Było nas kilku takich, którym ciasno było z dotychczasowymi wiadomościami: H[ ] P[ ], J[ ] N[ ], I[ ] B[ ], a z pobliskiej Kuźni Raciborskiej przyłączyli do nas J[ ] K[ ] - dziś dyrektor H[ ], J[ ] B[ ] - dziś Główny Mechanik i jeszcze kilkunastu innych. Zaczęliśmy się spotykać w Klubie Technika, wkuwając jak za starych uczniowskich czasów matematykę i fizykę. Klub mieścił się w pięknej willi, w której niegdyś mieszkał właściciel fabryki szczerotek czy czegoś podobnego. Był bardzo zaniedbany, a jego działalność ograniczała się do cotygodniowych potańcówek i turniejów szachowych organizowanych raz w miesiącu. Prowadził klub artysta plastyk, który na drugim piętrze stworzył sobie pracownię artystyczną, zaś w jednym z pokoi pierwszego piętra sypialnię. Był to człowiek awangardowy, a przy tym nie bardzo



wiedzący jak prowadzić Klub Technika. Specjalnie jednak nie interesowaliśmy się jego działalnością, dziękując za udostępnienie sali wykładowej.

W zakładzie tymczasem zaczął się szaleć, któremu na imię Turów. Położony na samym końcu zachodniej Polski na małym wypelku wciśniętym klinem w ziemię naszych sąsiadów zza Odry. Geolodzy odkryli tam największe z możliwych do odkrycia pokłady węgla brunatnego. Miliony ton paliwa energetycznego czekało na wykorzystanie przez człowieka. Po drugiej stronie Nysy, zaraz po sąsiedztwie pracowała niemiecka elektrownia, korzystając zresztą i z polskich zapasów węgla. Więc Turów, - największe przedsięwzięcie polskiej energetyki, 6 kolosów z których każdy miał niespotykaną w naszym kraju wydajność: 650 ton pary na godzinę. A trzeba było to wszystko zaczynać po tym sławetnym chudym 1958 roku. Żeby tylko to. Równolegle rozpoczęto produkcję zbiorników owijanych. Na stacji prób stanął pierwszy raciborski próbny walczak dla kotłów przemysłowych. Dość żeśmy nie wybrnęli z jednych kłopotów, a tutaj zaczynały się nowe, kto wie czy nie poważniejsze. Nazwa kotły jednak zobowiązywała, poza tym był najwyższy czas by uniezależniać się od importu niektórych części kotłowych. Na przykład walczaki dostarczała i zawalała dostawy francuska firma Alsthom. Miły solidna, a jednak zdarzały jej się i trzymiesięczne przedłużenia terminów dostaw. Żeby zaś zrozumieć co to są 3 miesiące w Elektrowni wystarczy powiedzieć, że każdy dzień to strata 1-2 milionów złotych. Fabryka musiała sama nauczyć się produkować wszystkie części kotłów, tak jak 2 lata temu musiała zacząć projektować kotły. W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję.

Pisząc o sobie, piszę równocześnie tak wiele o zakładzie, o mieście w którym przyjechało mi mieszkać. Piszę nieraz o rzeczach,

których byłem świadkiem, ale przy tworzeniu których nie zawsze brałem udział. Wydaje mi się jednak, że to co się działo wokół mnie, stanowi część mojego życia. Dlatego nie mogę o tym nie pisać. Przecież brałem bezpośredni udział w tworzeniu nowego, nie mogę więc pozostawić fakty z tym związane na boku. Poza tym staram się mój pamiętnik, jeżeli wogóle to co piszę można nazwać pamiętnikiem, ułożyć wg jakiejś chronologii wydarzeń, co mi pozwala jak gdyby na zwolnionym filmie jeszcze raz prześledzić te kilkanaście lat mojego życia, życia powie-działbym dla milionów mieszkańców tych ziem. Byłem jednym i tylko jednym z nich i to co zrobiłem przyniosło mi osobistą satysfakcję i myślę, że jakiś pożytek innym ludziom. To mi wystarczy.

W maju 1959 roku omal nie rozstałem się z tym światem. Ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, prawie trzy dni zwijania się z bólu w domu, bo myślałem że to ból żołądka i tylko cud mnie uratował od śmierci. Cud, albo zdrowy organizm. Przeleżałem długie trzy miesiące w szpitalu i straszliwie wychudzony wyszedłem z niego z końcem lipca. Diabli wzięli studia, miesiące nauki, musiałem teraz myśleć o podreperowaniu zdrowia. Wyglądałem jak szkielet, co przy moim wzroście robiło odstraszaające wrażenie.

Do pracy wróciłem dopiero w październiku, właśnie wtedy gdy moi koledzy rozpoczynali studia na Wydziale Zaocznym Politechniki Śląskiej w Kędzierzynie. Jeszcze w tym samym roku otrzymałem nowe, dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Długiej, gdzie zresztą mieszkam do dziś. Wyjęliśmy z księżeczki te parę tysięcy przeznaczone na motocykl i uzupełniliśmy umeblowanie, Krystyna kupiła do pokoju stołowego dywan, aby jak stwierdziła mieszkanie wyglądało ładnie i nowocześnie. Gdyby ktoś z tego, co dotychczas napisałem pomyślał, że żyłem tylko pracą, poświęcając

domowi tylko resztki wolnego czasu, byłby w grubym błędzie. Praca była ważnym elementem mojego życia, ale najważniejszym była Krystyna i Ela. Byliśmy częstymi gośćmi w Sonowcu, korzystaliśmy z każdej okazji by wyrwać się do lasu, w góry, czy nad któreś z pobliskich jezior. Tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę, bez wygórowanych ambicji, szczęśliwą i zadowoloną z tego co posiadaliśmy.

Pod koniec roku otrzymałem wreszcie wynagrodzenie za wnioski racjonalizatorskie złożony w 1957 r., całe 12 tys. złotych. Motocykl zaczął znówu przybierać coraz realniejsze kształty. Do tego okresu złożyłem jeszcze kilkanaście projektów racjonalizatorskich, na wynagrodzenie trzeba było jednak poczekać przynajmniej rok, dwa.

Rok 1959 zapisał się w historii zakładu jeszcze jednym ważnym wydarzeniem, pierwszym kontraktem eksportowym na dostawę kotła energetycznego do Chińskiej Republiki Ludowej. Był to rok o niebo lepszy od poprzedniego. Za trzy kwartały załoga otrzymała premie kwartalne, znalazły się fundusze na rozpoczęcie budowy własnego osiedla mieszkaniowego. Za ogromne sumy wyposażono laboratorium zakładowe, przydzielono Kontroli Technicznej nowoczesny sprzęt kontrolny. W halach produkcyjnych coraz częściej zaczynają się pojawiać młodzi chłopcy z tarczami szkolnymi na rękawach - to uczniowie Przysakładowej Szkoły Zawodowej, odbywający swe pierwsze praktyki produkcyjne.

Tak łatwo się o tym wszystkim pisze: prototypy, energetyka nowe osiedla - za każdym z tych wydarzeń, kryli się jednak ludzie tacy jak ja. Gdyby każdy z nich pisał swój pamiętnik, byłby on podobny do mojego. Nasze losy spletały się bowiem nierozdzielnie ze sobą. Z racji swych obowiązków w radiowęźle byłem częstym gościem w Komitecie Powiatowym Partii. Nazywano nas propagandzistami. Za wszystkimi naszymi słowami kryła się powiem propaganda partyjna. Jej postaci były różne. Wskazywanie na konieczność trzeźwej krytyki, propagowanie



osiągnąć Ziemi Zachodnich, które za kilka miesięcy obchodzić miały 15 rocznicę wyzwolenia, a przede wszystkim pokazywanie ludzi, którzy stworzyli na tych ziemiach nowe miasta, przemysły i rolnictwo.

Po jednej z naraad wezwał mnie I Sekretarz KP Partii tow. Traugutt i zapytał co sądzę o organizacji NOT-owskiej na terenie Raciborza. Powiedziałem, że niewiele, bo nie mamy z nią prawie żadnych kontaktów. "A szkoda - powiedział, - bo na terenie Raciborza mamy już ponad 1000 inżynierów i Techników, a jest to potencjał ludzki, który może poprzez pracę społeczną bardzo wiele zdziałać dla miasta. Chcieliśmy ożywić środowisko inteligencji technicznej, poprzez stworzenie silnej organizacji technicznej, poza tym istnieją na zakładach nasze i przede wszystkim postawić na odpowiednim poziomie Klub Techniki. Jednym słowem widzielibyśmy Wasz towarzyszu na stanowisku Sekretarza Rejonowego Naczelnej Organizacji Technicznej. Chcemy zwołać zebranie przedstawicieli wszystkich zakładów pracy, zaproponować Waszą kandydaturę na to stanowisko". Byłem trochę zaskoczony tą propozycją, bo była to funkcja odpowiedzialna, wymagająca doświadczenia w pracy z ludźmi, nawiązywania całego szeregu osobistych kontaktów, a poza tym znówu pochłaniająca czas. Co mi się namyślał, to mi się namyślał, w końcu zgodziłem się. Było zebranie, nasze wnioski i propozycje, jeszcze więcej krytyki w rodzaju czego to nie można robić, a się nie robi, w końcu wybrano nowy zarząd, w którym zgodnie z życzeniami Komitetu Powiatowego objął funkcję Sekretarza Rejonowego NOT.

W spadku po moim poprzedniku - artyście odsiedzieliłem kilkanaście serwisów kawowych, całą masę noży i widelców stołowych, kilkadziesiąt rozwalających się krzeseł i solenne

zapewnienie, że prędzej się ukamam niż z tej budy coś zrobi. Szczęście dla mnie Klub Techniki znajdował się tuż przy parku, tak że Krystyna z Elą mogły mi towarzyszyć, bo inaczej nie wiem, czy bym głowy w domu nie postradał przez ten NOT. Zaczeliśmy od rzeczy naszym zdaniem najpilniejszej - wyposażenia. Najprawdopodobniej skończyłoby się na gadaniu, gdyby do rzeczy nie zabrał się Komitet Powiatowy Partii.

Zwołano dyrektorów naczelnych, powiedziano im, że żadnego z nich uświadamiać nie trzeba i zaproponowano dobrowolne składki na Klub Techniki. Mogła to być robocizna przy remoncie klubu, zamówienie na sprzęt, pieniądze. Było wiele sprzeciwów, gorzkich epitetów, ktoś nawet wtracił, że lokale klubu wykorzystywano czasem do celów odbiegających bardzo daleko od działalności statutowej NOT-u, koniec końców przyrzeczono jednak pomoc. W zarządzie było nas kilkunastu techników i inżynierów i każdy otrzymał bojowe zadanie wyciągnięcia z dwóch, trzech powierzonych sobie zakładów ile się tylko da. To bojowe zadanie to myśmy sobie sami ustalili na zebraniu Zarządu. Ustaliliśmy, że aż do zakończenia akcji spotykamy się codziennie o godzinie 18-tej. I tak każdego dnia każdy z nas coś przyniósł. G. [ ] G. [ ] po dłuższym uświadamianiu dyrektora Cukrowni przyniósł zamówienie na wykonanie 10 ławek i zakup 60 krzeseł do sali wykładowej. Przekłinali nas potem w Cukrowni, bo za wykonanie ławek i zakupieniu krzeseł trzeba było zapłacić 26 tysięcy złotych. Mieliśmy cudowne wyposażenie sali wykładowej. Alek Brówka uzyskał zgodę Fabryki Kotłów na zakup 12 foteli do czytelni, Mietek Książek przyniósł z Rafanetu kopię przelewu na nasze konto 10 tys. złotych. Zakłady Graficzne wspólnie z Gorzelnią i zakładami Spożywczymi przystąpiły do malowania całego budynku. "Śluzak" zakupił kilka lamp, Wielobranżówka wspaniałomyślnie przysłała zamówienie na zakup naszon. Kupiłem je w ilości 60 metrów w Cepelii w Warszawie, na Placu Konstytucji i zapłaciłem,

daje słowo, tym zamówieniem Wielobranżówki. Wydano mi taką masę drogiego materiału tylko za okazaniem dowodu osobistego. Widocznie mi z twarzy dobrze patrzyło. S. [REDAKTOR] K. [REDAKTOR] przywiozł pewnego razu dwie olbrzymie wycieraczki, oraz zapowiedział uzupełnić jeszcze chodnikami. Żeby już było całkiem wytwornie Betoniarńia, Spółdzielnia "Sprawność" i Zakłady Terenowe, których było kilka zakupił trzy piękne dywany, z których jeden zielony był godny gabinetu ministra. To się znówu tak ładnie pisze, a w praktyce straciłem w 1960 roku mój cały urlop taryfowy, pocieszając się przynajmniej tym, że żaden z członków Zarządu NOT też nie wyjechał na urlop. Niby prosta, podobna do tysięcy akcji niewielu ludzi. Nie to nie była tylko nasza - śmiem określić - dobra robota. Klub Techniki był dziełem całego miasta. Cóż byśmy zrobili bez pomocy finansowej zakładów pracy, bez pomocy moralnej Komitetu Partii, bez młodzieżowej ZMS-owskiej, która w ramach czynów społecznych zagospodarowała ogród przy Klubie Techniki.

Na uroczyste otwarcie przyjechał z Warszawy Sekretarz Generalny NOT-u mgr inż. W. [REDAKTOR] O. [REDAKTOR], obecny Sekretarz CRZZ. Były dyplomy, wzruszające słowa podzięk, zapewnienie pomocy materialnej Zarządu Głównego. Zapewnienia te zostały dotrzymane. Otrzymaliśmy bogaty księgozbiór techniczny, projektor filmowy, telewizor. Zarząd Wojewódzki NOT odstąpił pół etatu dla Kierownika Biblioteki. Klub zaczął żyć nowym życiem. Nie była to jednak praca czysto klubowa, to znaczy: odczyty, filmy, spotkania, wieczorki klubowe. Z Komitetu Powiatowego Partii otrzymaliśmy pierwsze realne zadanie dla organizacji NOT-owskiej - zbadać poziom przemysłu raciborskiego. Dobra to była praca i potrzebna. Wnie osobiście po raz pierwszy uświadomiła, że oprócz Fabryki Kotków wyrósł w Raciborzu różnoraki przemysł, liczący się na rynku krajowym i zagranicznym.



Niedaleko Fabryki Kotłów w równie szybkim tempie rozbudowywały się Raciborskie Zakłady Żelbetowe. Zaczynały podobnie jak my od przyjęcia starego zakładu, a w 1960 r. były już potentatem w produkcji płyt struno - betonowych. Cukrownia rozbudowywała, oddział aparatury cukrowniczej, Spółdzielnia Wielobranżowa, popularna Wielobranżówka odkryła przed nami kilkanaście patentów na unikalną aparaturę w całości wysyłaną na eksport. Sypnęła bogactwem wyrobów stara "Plania" - Zakłady Elektrod Węglowych. Niedawno opatentowała nowe tworzywo węglowe - gralany, rozpoczęła produkcję wkładów kwasoodpornych do wymienników ciepła, zautomatyzowała produkcję małych elektrod. Nawet Zakłady Spożywcze przedstawiły listę kilkunastu krajów - odbiorców sałatek, konfitur, kompotów i dżemów. Znakomicie wypadła ocena produkcji Fabryki Obrabiarek "Rafamet" w Kuźni Raciborskiej. To nie świat dyktował postęp techniczny w obrabiarkach do zestawów kolejowych, to Rafamet zaskakiwał zagranicznych odbiorców coraz to nowymi konstrukcjami. A u nas, w Fabryce Kotłów? Analiza wykazała kierunki rozwoju postępu technicznego, zgodne z założeniami zakładu - konieczność obniżenia ciężaru kotłów, stosowanie lepszych materiałów, rozszerzenie badań laboratoryjnych.

Uzbierała się z tego wszystkiego gruba księga, w której zawarto 15 lat rozwoju raciborskiego przemysłu. Był to rozwój prawidłowy i dynamiczny. W tymże roku pojechałem po raz pierwszy do Turoszowa. To był rzeczywiście "dziki zachód". Zamiast stacji kolejowej - baraki, zamiast dróg olbrzymie połacie błota, które ani obejść ani przejechać. Od stacji widać już było wysokie konstrukcje kotła. Naszego raciborskiego kotła. Nasza praca wykazała mi się przy pracy turoszowskich montażystów rajem na ziemi. Mieliśmy nowoczesny zakład, pięknie

rozbudowujące się miasto, tu były tylko baraki, potworna muda i olbrzymie tempo pracy. "Sam też tu przyjechałem w półbucikach - powitał mnie inspektor Szurda, a my tu przyjacielu nie wychodzimy z gumowych butów i kufajek. Zaprowadzę Pana do odgazywaczy, abyś się Pan naocznie przekonał jak tam w fabryce pieprzycie robotę. Ale zanim tam pójdziemy pokażę Panu teraz budowę. O tutaj stanie drugi i trzeci kocioł. Z tej strony pójdą taśmociągi z kopalni odkrywkowej. Koło tego bajorka, które nigdy nie wysycha mają rozpocząć budowę budynków administracyjnych. A na tym wzgórzu stanie osiedle domków jednorodzinnych dla pracowników Elektrowni". Widząc moją zrozpaczoną minę inspektor Szurda dodał: "Dziwisz się skąd we mnie tyle entuzjazmu. Wytkumaczenie jest proste. Jak tutaj przyjechałem, aby odbierać pierwsze dostawy nadchodzące z fabryki, to nie tu nie było tylko błoto. Jakżem to pierwszy raz zobaczył to pomyślałem, uciekaj stąd bracie, żyj o chlebie i wodzie, ale uciekaj. Zanim zbudowano pierwsze magazyny waliliśmy wszystko w to błoto. U nas w Raciborzu jak też w 1950 roku zaczynali to chociaż była łąka, kwiatuszki, niedaleko Odra, a tutaj błoto. A ludzie: diabeł ich tutaj przysłał, na to odludzie. I wiesz Pan dlaczego tu zostałem, bo ci nieogoleni, niedospani ludzie, przechadzający się po terenie budowy obwiązani strażackimi pasami, w potwornie zabrudzonych gumiakach postawili konstrukcję naszego kotła na miesiąc przed terminem. Wstyd mi było opuszczać tych ludzi, jeszcze by pomyśleli że miękki, ajja zanim przyjechałem do Raciborza od 1945r. pracowałem w aparacie partyjnym na Podkarpaciu. Powiedz sam - mogłem wyjechać"? Wracając z Turoszowa, nie myślałem już o błocie, tylko o tym jak to będzie wszystko wyglądało gdy skończy się budowa:

Poleka Energetyka otrzyma dodatkową moc 1200 megawatów, zaś fabryka rozpocznie następne kotły. Z Turoszowa wiozę również nowy zapas do pracy, który dzieliłem teraz solidarnie

między zakład, organizację techniczną i dom. Jesienią w Klubie Techniki rozpoczęliśmy kolejny kurs przygotowania do egzaminów na wyższe uczelnie techniczne, co tydzień wyświetlano filmy, które otrzymaliśmy z ambasad różnych państw akredytowanych w Polsce. Klub ku naszej radości zaczął przyciągać coraz liczniejsze grono ludzi techniki.

W III kw. 1960 r. zakład po raz pierwszy zdobył sztandar przechodni ZG ZSM i Zjednoczenia ZEMAX. Olbrzymia sala Domu Kultury nie mogła pomieścić wszystkich chętnych zobowiązania tej uroczystości. Było to nie tylko miłe, ale znów zobowiązujące. W kilka dni później organizacja partyjna Wydziału Ekranów wezwała załogę do zaciągnięcia wart produkcyjnych dla Buroszowa. Warty miały na celu przyspieszenie dostaw, a przede wszystkim podniesienie jakości produkcji. Ogarnęła całą załogę, a ich wynikami było dostarczenie pierwszego kotła do końca 1960 roku, zaś dwóch następnych w 1961 roku.

Dla nas konstruktorów rozpoczął się okres prac projektowych dla zagranicznych odbiorców. Chiny Ludowe, Turcja, Grecja, Rumunia, Wietnam - to tylko część odbiorców zagranicznych, którzy oczekali na kotły. Myśmy w Biurze Konstrukcyjnym szukali nowych rozwiązań konstrukcyjnych, produkcja zaś szukała nowych metod wykonawczych.

Otwarto Spawalniczy Ośrodek Doświadczalny, Gliwicki Instytut Spawalnictwa pomagał przy wprowadzeniu kilku najnowocześniejszych metod spawania. Pracę rąk ludzkich mogły zastąpić automaty. Był to dla mnie dobry pod każdym względem okres. Otrzymałem ponad 25 tys. złotych za wprowadzenie wcześniej projektów racjonalizatorskich i marzenie o motocyklu zastąpiłoby z K [ ] już realnymi marzeniami o własnym samochodzie. W pracy coraz bardziej czułem się fachowcem potrzebnym zakładowi, równocześnie zakład był potrzebny mnie dla dalszego prawidłowego rozwoju. Nawet się nie spostrzegłem jak w 1962 roku



minęło dziesięciolecie mojej pracy w Fabryce Kotków. Mierząc ten czas ilością pracy zawodowej i społecznej doszedłem do wniosku, że mogę go uznać za prawidłowo wykorzystany. Dochodziłem do wszystkiego pracą własnych rąk i kiegi patrzyłem teraz na swoje ładnie umeblowane mieszkanie, na coraz bliższy moment kupna samochodu, na córeczkę, która już za rok miała iść do szkoły podstawowej przypominałem sobie tą pierwszą lampę w kształcie tancerki, którą ze mną postawili z Krystyną w pustym pokoju przy ulicy Nowej. A na przemysłowej mapie Polski wyrastać zaczęły nowe nazwy: Adamów, Turów, Janikowo, zgierz, Patnów - tu miały stanąć nowe kotły raciborskiej fabryki.

Rok temu w Biurze Konstrukcyjnym utworzono Dział Studiów, którego zadaniem było wytyczanie dróg przyszłościowych polskiego przemysłu kotłowego.

Zaczęliśmy wygrywać zagraniczne przetargi na budowę elektrowni i to wszystko zaledwie w 10 lat od uruchomienia pierwszej produkcji.

Z końcem 1962 roku pożegnałem się z czystym i przytulnym Biurem Konstrukcyjnym i rozpocząłem pracę w produkcji. Objąłem stanowisko Kierownika Oddziału Walczaków, najpoważniejszego, ale i najtrudniejszego odcinka produkcji. Moim bezpośrednim przełożonym był mgr inż. B. [REDACTED], przybyły do Polski kilka lat temu z Baranowie w Związku Radzieckim. Nasza współpraca od samego początku przybrała nieoczekiwany obrót. Inżynier Bujan po prostu nie dostrzegał mnie w ogóle. Po przyjęciu ustaliliśmy ogólne ramy naszej współpracy, ale była ona w ogóle przez niego ignorowana. Nie minął miesiąc, jak zacząłem czuć się wśród załogi jak intruz. Usgońnienia odgórne docierały do mnie przypadkowo od mistrzów, a nawet brygadzystów, moje polecenia z reguły były niewykonywane. B. [REDACTED] był kiero-

wnikiem Wydziału, któremu podlegał Oddział Walczaków i wychodził z błędnego założenia, że konstruktor, nawet niewiem jak doświadczony może mu tylko robotę popsuć, a nie naprawić. Nie zamierzałem do nikogo chodzić na skargę, czekając na okazję męskiego załatwienia sprawy. Nie miałem co prawda praktyki produkcyjnej, moje doświadczenie konstruktorskie i dość dobra znajomość organizacji pracy mogły być wg mnie przydatne wydziałowi. Gdzieś po trzech miesiącach takiej ścisłej walki, nie wypowiedzianej, w ogóle niepotrzebnej inż. B. przyszedł do mojego kantorka znajdującego się w samym środku hali. Przyszedł, usiadł, zapalił papierosa i tak bez żadnego wstępu puścił mi "wiązaną". A kłóć to on umiał, jak nikt w fabryce. Potem wyzwał mnie od lalusi, co tylko okówek umiętatrzymać w ręce, chodzić w białych koszulkach a na robocie g.... się znają, nie zapomnieli dodać, że jestem mu w ogóle nie potrzebny i niech ten kto mnie przysłał zabiera z powrotem. Przy okazji rozwalił pięścią szybę leżącą na biurku i zabrał się do wyjścia. Poprosiłem go by zechciał z kolei mnie wysłuchać. Teraz ja z kolei załapowałem mu znajomością kuchennej łaciny. Zmieszałem go z brótem dokładnie i bezlitośnie. Epitety w rodzaju, że powinien świnię paść, gnój wyrzucać a nie kierować wydziałem produkcyjnym były najniewinniejszymi określeniami jakich użyłem. "A wiesz ty mądralo uważający że k.... a wszystko załatwi, że w żadnej brygadzie nie ma porządných norm zakładowych, że są tacy co przez parę lat byli tylko kulą u nogi brygad, bo oprócz ezlifowania brygadzieta boi mu się dać inną robotę. A gdzie samodzielność dla mistrzów, jak każdy szczegół muszą uzgadniać z kierownikiem wydziału. Jestem tu już trzy miesiące a czy kto mnie zapytał co umię, czego mnie w tej fabryce nauczono przez 10 lat. Wstyd mi za Pana inżynierze, bo zachowuje się Pan jak gówniarz a nie dorosły człowiek". Wysedek na wydział trzasnąwszy drzwiami. Samały to on ze mnie nie robi - powiedziałem sobie. Nazajutrz

postanowiłem iść na skargę do Szefa produkcji. Do końca zmiany unikałem B. a i on unikał mnie. Czułem to, że załoga czeka na wynik tego "pojedynku", który w sumie nic dobrego nie mógł przynieść wydziałowi. Następnego dnia rano obchodziłem jak zwykle oddział gdy przyszedł do mnie B. Przywitał się jak gdyby nigdy nic, a potem powiedział: "Daj papierosa, zapomniałem swoje w biurze". Później wziął mnie pod rękę i dodał: "No to co, może byśmy razem zrobili obchód". I to było wszystko, cośmy sobie jeszcze na ten temat powiedzieli. Później pracowaliśmy razem przez pięć lat, kiedy to w 1968 roku inż. B. wyjechał na kon-  
taż i przez cały ten czas tworzyliśmy doskonałą parę, nigdy nie mając wobec siebie żadnych tajemnic, a pełne, wzajemne zaufanie. Nigdy też żaden z nas nie wrócił do tych fatalnych trzech miesięcy, ani do tej przykrej rozmowy. A mieliśmy nad czym myśleć, bo dopiero tutaj, bezpośrednio w produkcji poznałem tak naprawdę wartość ludzi, poznałem uczucie całkowitego zaangażowania się, poznałem uczucie nieprzespanej nocy, uczucie odpowiedzialności i uczucie radości, że 250 ludzi może tworzyć jedną całość. W 1963 roku zdecydowałem, że czas najwyższy abym wstąpił z powrotem do Partii. Od 56 roku pracowałem społecznie na różnych stanowiskach, powierzano mi odpowiedzialną robotę, dlatego więc pozostać dalej poza organizacją z którą praktycznie nigdy się nie rozstawałem? Poszedłem do Komitetu Zakładowego i powiedziałem wprost: "Towarzyszu Sekretarzu, chociaż na powrót wstąpić w szeregi PZPR. Przyjmiecie"? Sekretarz - młody, bo dopiero t. zydzie-  
stoletni technik, pracujący tak jak i ja w kotłach od 1952 roku załatwił mnie krótko, "Wiesz - powiedział , - czekałem kiedy ty się wreszcie zdecydujesz. Wiesz dobrze, że potrzeba nam w Partii ludzi aktywnych, zaangażowanych. Cholera ciebie wtedy podkusiła wystąpić. Miałbyś już ładny staż partyjny, a teraz zaczynaj



wszystko od początku. Ja ci nie będę szkodził, zobaczmy co powie Oddziałowa Organizacja Partyjna". Przygotowywałem się do tego zebrania dość długo. Miałem stanąć przed załogą, z którą po tych fatalnych początkach pomaku zaczynałem się zżywać i odpowiedzieć im na trudne pytanie, odpowiedzieć tak by mnie zrozumieli. Było oczywiście pytanie dlaczego odszedłem, na które odpowiadałem tak jak faktycznie było. Ktoś poprosił o życiorys, a jeszcze co zamierzam w ZOP Wydziału Kotlarskiego robić. Odpowiedziałem, że będę robił to co mi powierzy egzekutywa, najchętniej jednak zająłbym się szkoleniem partyjnym. Kamień spadł mi z serca, kiedy wszyscy głosowali za przyjęciem. W kilka dni później wezwano mnie do Komitetu Powiatowego. I Sekretarz tow. P. [REDACTED] aż się za głowę złapał, kiedy zobaczył mnie na liście kandydatów do zatwierdzenia. Towarzyszu - mówił do mnie - to ja bym sobie dał głowę uciąć, że wy jesteście członkiem Partii, a wy dopiero teraz. "No nie zupełnie, bo ja już byłem kiedyś ....." "Wiem, wiem i ty bracie uważaj, bo legitymację partyjną łatwo jest oddać, ale trudno przetrzymać z powrotem". Poproszono mnie później na posiedzenie Egzekutywy i tutaj musiałem jeszcze raz opowiadać o wszystkim od początku. "A ile mieliście wtedy lat" - zapytał tow. Wieczorek, stary działacz komunistyczny, pierwszy dyrektor Fabryki Kotków. 23 odpowiadałem. "To jeszcze młody. Powiem wam Towarzysze, że co nie jest żadną okolicznością kłopotliwą, że wtedy sporo było takich, co tak właśnie postąpili. No cóż proponuję dać Tow. Wilkowi szansę, chyba drugi raz legitymacji partyjnej nie zerwieci."

Byłem więc znowu w Partii, ale wstydu się przez moją głupotę najażdżem co niemiara. Tyle było jeszcze tych wydarzeń w roku 1963, że nie wiem które najważniejsze.

Chyba jednak to, że K[ ] spożywała się drugiego dziecka. K[ ] we wrześniu po udanym wspólnym urlopie w Karpaczu poszła do szkoły i takżeśmy sobie wcześniej pomyśleli, że przydał by się onżopak w domu. Syn, bo musiał być syn, miał się urodzić w styczniu przyszłego roku, a tymczasem w listopadzie otrzymaliśmy z Motoszbytu, że przydzielono nam samochód. Był to tylko mały trabant, dla nas jednak, gdyśmy go oglądali na zdjęciach wyglądał jak Cadillac połączony z mercedesem. Za namową K[ ] wziąłem się znowu do nauki, z mocnym postanowieniem zdawania wreszcie na wyższe studia techniczne. Nie był to okres najszczęśliwiej wybrany, ale lata mi uciekały, a fabryki coraz więcej studiowało.

Długo wieczorami siedziałem teraz w domu, uczyliśmy się razem z córką, ona abecadka i dodawania do dziesięciu, ja równań trygonometrycznych i kinematyki. Z końcem stycznia urodził się tak upragniony syn. Daliśmy mu na imię Marek. Był grubutki jak pączek, takim pozostał do dzisiaj. W lutym, kiedy Krystyna wróciła ze szpitala, nastąpiły niespodziewane zdarzenia. Młona dostała silnego krwotoku. Szpital, transfuzja, wreszcie po kilkunastu dniach musiałem wyrazić zgodę na natychmiastową operację. Tylko to uratowało jej życie. Do dziś nie wiem czy było to zaniedbanie lekarzy, czy jej nieostrożność, w każdym razie po tylu pięknych dniach zaczęły przychodzić do nas ciężkie chwile. K[ ] leżała w szpitalu prawie 6 tygodni. Wyszła kompletnie wycieńczona, słabutka, ledwie trzymająca się na nogach. Przez niecałe dwa miesiące uciekla z niej cała radość życia, została boleść i strach co ja na to wszystko powiem. "Mamy syna Mietek - powiedziała pewnego dnia - ale to już jest nasz ostatni syn. Boję się, że nie będzie tak jak było dawniej". Nic się jednak w naszym życiu nie

zmieniło. Nigdy też nie rozmawiałem z żoną na ten temat. W maju K [REDAKTOWANE] wyjechała na trzy tygodnie do sanatorium do Krynicy. Do mnie przyjechała z Sosnowca Mama. W czerwcu stanąłem do egzaminów wstępnych i oblałem je fatalnie. Nie martwiłem się tym jednak, ostatecznie nie muszę być inżynierem, najważniejsze, żeby K [REDAKTOWANE] wróciła do zdrowia.

Przez ten rok zajmowałem się wyłącznie pracą i domem. Poprosiłem o zwolnienie z funkcji sekretarza HCT-u, popołudnia do tychczas spędzane w Klubie Techniki, wykorzystywaliśmy na codzienne wycieczki za miasto. W tych eskapadach nie byliśmy sami, kilku młodych kolegów też pokupowało samochody, mogliśmy więc w kilkanaście osób wyrwać się za miasto.

A miasto było już nie do poznania. Zbudowano wszystkie ulice przy Rynku, Fabryka Kociołów wybudowała pierwsze bloki nowego osiedla, działająca od kilku lat Spółdzielnia Mieszkaniowa dysponowała dwudziestoma kilkoma domami. Na peryferiach miasta pojawiło się kilka nowych willi, dzisiaj jest ich już kilkadziesiąt. Odbudowano zabytki i muzeum otrzymało nowe pomieszczenie, kościół farny wysoką wieżę, ulica Mickiewicza, ta biegnąca od stacji do Rynku, pełna gruzów, ruin, w 1952 roku, teraz pokryła się na całej długości nowymi domami. Stabilizacja była widoczna w każdej prawie rodzinie. Niedawni stałyści przybyli do zakładu z różnych stron Polski w większości pozakładali rodziny, każdy z nich posiadał mieszkanie, meblował się, myślał tak jak ja o własnym samochodzie. W ciągu kilku lat każdemu i to marzenie się spełniło. Są dni, że przed zakładem nie ma miejsca gdzie można by zaparkować samochód, tyle tu stoi wozów różnych marek. A wszystkie są własnością pracowników zakładu.

Nie pisałem jeszcze o nowej pracy w produkcji, poza kilkoma zdaniami o jej początkach, a była to praca naprawdę ciekawa.



W biurze byłem sam za swoją deską, odpowiadałem tylko za swoją pracę, tutaj moja praca była częścią pracy całego Oddziału. Zaczynałem od poznawania ludzi. Pomagał mi w tym inż. B. "Żeby dobrze pracować człowiek musi czuć, że się nim interesują, - mawiał mój niedawny antagonistą, a teraz serdeczny druh i przyjaciel z pracy. - Ja znam tu każdego, wiem co go boli, czemu pracuje mniej wydajnie. Musimy tak pracować, by ludzie do siebie mieli zaufanie. Ja ich czasami zeknę, gdy zasłużą, ale każdy z nich wie że pomogę. Pewnie, że wszystkiego nie mogę zrobić sam, obaj możemy to zrobić napewno." Weszliśmy właśnie w nowy trudny okres pracy, opanowanie produkcji walczków kotłowych z nowego materiału miedziowego niklowego. Dla laika słowo walczak to pusty dźwięk, dla nas było to 50 ton ukształtowanego zgodnie z myślą konstruktorską, wykonanego z prawie idealną zgodnością z technologią. Takiego materiału jak ten miedziowo-niklowy jeszcześmy w zakładzie nie mieli. Wytrzymały, ale trudny w obróbce. Wszystkie operacje spawalnicze trzeba było wykonać w temperaturze 200°C, a do tego dochodził jeszcze 100 % rentgen i wykluczone jakiekolwiek wady spawalnicze. Technolodzy opracowali technologię rozbicia na najdrobniejsze czynności, co kawałek obwarowane zastrzeżeniami, które wielkiej widoczności obramowano czerwonym kolorem. Każdy dmuchał na zimne. Początki nie były zbyt pomyślne. Nasz najlepszy walcarz A. P. roz-walcował pierwsze dzwono poniżej dopuszczalnej grubości blachy. Nikt mu tego nie miał za złe, bo skąd miał wiedzieć jakie stosować naciski walcy, by nie za bardzo "przydusić" rozpалony olbrzymi płat stali, 200 tys. jednak diabli wzięli. Dziesiątki ludzi analizowało to pierwsze nieudane dzwono. Gdyby nie zdołano opanować produkcji, to znówu import walczków. Inż. B. prawie nie wychodził z wydziału, ja pracowałem do 18-tej i wstawałem o 4 rano. Jak na polu bitwy podzieliliśmy się rolami, jeden pilnował pieców grzewczych, drugi jeszcze raz sprawdzał nowiutkie

walce zakupione specjalnie do produkcji walczaków. Brygady, które wykonywały walczak otrzymały polecenie nauczania się technologii prasie na pamięć, przeanalizowania każdego zdania, wyłapania nawet najdrobniejszych nieścisłości. To były naprawdę ciężkie dni, nerwowe, pełne napięcia i niepewności. Współpracownik z nami specjaliści od obróbki cieplnej, walcownicy, starzy praktycy warsztatowi. Wsadziliśmy blachę do pieca grzewczego półnym wieczorem, a rano po raz drugi mieliśmy rozpocząć zwijanie drwa. Tego się nie da opisać, bo ranna scena godna była innego pióra niż moje. Wysoko za pulpitem sterowniczym walcy A. P., obok niego Dyrektor Techniczny inż. S. i Gł. Technolog inż. D. Z jednej strony walcy Sz. ze swoimi ludźmi, z których każdy dzierżył w rękach długie stalowe pręty do pierwszego prowadzenia blachy, za nimi zaś dwóch z brygady K. trzymało węże powietrzne do zdmuchiwania zębry. A lewą stronę obsadzili kontrolerzy. Na lejkę trzymał gotowy do strzału pirometr optyczny, jeszcze inny stoper do dokładnego pomiaru czasu walcowania. Przy piecu czuwał stary I. Ilek to on czasu przepracował w swoim życiu. Mówił, że niedługo stuknie mu 45 lat, z czego kilkanaście od początku w Fabryce Kotków. Lubilem go, bo był mądry i rozsądny. Jeszcze gdy był brygadziwą, trzymał brygadę jak na sznurku. Niechby mu który coś nawalił, wtedy I. wiedział co zrobić, nie czekał na kontrolera, sam brał kredę do ręki i kreślił aż przykro było patrzeć. Mówiłem mu nieraz: "Panie I., przecież cały zbiornik trzeba będzie od nowa robić tak żeś go Pan kredą obmalował". A ten się tylko uśmiechał i zawsze powtarzał to samo: "Czego się za młodu nie nauczą to i później nie będą umieli". Taki był I. Później sam poprosił o przeniesienie. Stuknęła mu już sześćdziesiątka, sterane kości coraz częściej odmawiały posłuszeństwa. Przeszedł przeszkolenie, zdał egzamin

i usadowił się na piecu. Ale o brygadzie nie zapomniak. Pamiętał jak dawniej o wszystkich. A kiedy najmłodszy z byłej brygady kończył Technikum, sam przyszedł i poprosił dla niego o wyższą grupę. Więc przy piecu stał L [REDACTED], a przy nim jak cień inż. K [REDACTED] - Spawalnik, ale i do innych rzeczy mądra głowa. Też zdobywał szlify w fabryce, a z latami przyjeżdżali do niego się uczyć.

Piszę tak i piszę o tej jednej blasze, jakby nie było ważniejszych rzeczy. Może i były i ważniejsze i bardziej ciekawe. To wydarzenie dawało jednak, po raz niewiadomą który dowód wielkiego przywiązania ludzi do zakładu. Dziś pracowali wszyscy na tym jednym najbardziej zagrożonym odcinku produkcji, jutro kiedy droga będzie już przetarta, kiedy A [REDACTED] P [REDACTED] będzie sam zwijał jedno po drugim dzwono przejdą do pracy na nowy, trudniejszy może odcinek. Potem się ładnie pisze w gazetach, że zrobiono to i to, że pierwsi, że dorównują zagranicy, ktoś jednak zliczy wysiłek ludzi, stargane nerwy, mroźną pracę prowadzącą do nieraz bardzo odległego celu. To nie jest tylko mój pamiętnik. Tak bardzo bym chciał, by zawrzeć w nim również opowieść o ludziach, którzy byli i są dalej ze mną, o tych, o których nieraz nikt nigdy nie napisze, ale bez ich pracy nie byłoby potęgi polskiego przemysłu. To niby mój pamiętnik, a przecież ciągle w nim powracam do spraw którym widział, które także tworzyli inni. Ta blacha w końcu została zwałcowana i mogłem o tym napisać tylko jedno zdanie, ktoś by jednak wiedział wtedy o starym L [REDACTED], A [REDACTED] P [REDACTED], inżynierze K [REDACTED] i kontrolerze M [REDACTED]. Mogłbym tą opowieść o pierwszym polskim walczaku energetycznym, wykonanym całkowicie w Fabryce Kotłów ciągnąć jeszcze długo, bo jedno



dzwono to jeszcze nie oży walczak, ale napiszę tylko , że i ten pierwszy, najważniejszy zrobiony został w terminie. W trzy lata później wykonaliśmy dwa walczaki dla angielskiej firmy Babcock, firmy istniejącej już ponad 100 lat i specjalizującej się w produkcji kotłów. Przedstawiciele firmy byli po prostu zdziwieni, że Polska jest w stanie wykonywać produkcję na tak wysokim poziomie. "Gdybyście jeszcze - mówili przy odbiorze - umieli trochę lepiej handlować, to kto wie czy wytrzymałibyśmy z Wami konkurencję".

Chciałbym teraz powiedzieć choć kilka słów o ludziach miasta Raciborza. Pisałem, że tuż po wojnie Racibórz liczył tylko trzy tysiące mieszkańców. Później, z każdym rokiem przybywało coraz więcej mieszkańców. Skąd przybywali? Z daleka i z bliska, z innych województw i spoza granic Polski. Zaraz po wojnie przybyła liczna grupa z Sosnowca, mojego rodzinnego miasta, z katowickiego i krakowskiego. Oni właśnie, razem z tymi, którzy zostali tworzyli pierwszą szturmovą grupę odbudowy. Później w latach pięćdziesiątych zaczęli przyjeżdżać do Raciborza repatrianci ze wschodu. Wyróżniali się spośród ulicznego tłumu, nie tylko innymi ubiorami, ale przede wszystkim swą śpiewną mową. Tutaj otrzymali mieszkania, pracę. zaczęli szukać swojego miejsca w dużej społeczności miasta. Każdą z tych grup inaczej nazywano: tych autochtonów określano mianem "ślązaków" tych z Zagłębia, niewiadomo czemu ochrzczone "gorolami", zaś tych ze wschodu nie nazywano inaczej jak "ruski", lub jeszcze dosadniej "batiary". Nieraz, jakby zapominając o tym, że wszyscy skąd byśmy nie przybyli jesteśmy Polakami. Powstawały antagonizmy pomiędzy tymi ze wschodu, a tymi rdzennymi raciborzanami. Czasami w trakcie większej dyskusji wyleciał ożyj zęb, czasami dziewczyny odmawiały "nie swoim" tańca, jeszcze innym razem konflikty wyskakiwały w zakładach pracy. U nas w fabryce głośny był

konflikt jaki powstał na wydziale mechanicznym. Przyjęto do pracy kilku młodych tokarzy, właśnie z tych "batlarów". Ktoś tam kogoś napuścił, dość że przyszła do dyrekcji delegacja, że oni z takimi nie będą robić, bo im popsują opinię wydziału. Jedynym słowem nie sprawdzwszy nawet z kim mają przyjemność, już obracali się do nich bokiem. A był wśród tych przybyłych jeden J. K. Chłop jak wyrwiad, że aż strach go było przy tokarce postawić, żeby swymi łapskami czegoś nie powyrywał. Tenże J. K., po tej całej delegacji w ciągu najbliższego miesiąca wykonał 192% normy. To była jego odpowiedź na sarkania i póżusnieszki. Skorzystał z tego Główny Technolog inż. D. i zaraz wydał polecenie by poobcinać normy na wydziale, bo skoro jeden wyrobił 192% to widocznie ci, co wykonują tylko 115 - 120% są partaczami, albo obijają się w czasie pracy. I wtedy dopiero był szum. Przychodzili K. podglądać przy robocie, oceniali każdy jego ruch, sposób zamocowania, słabość maszyny. Aż po iluś tam dniach stwierdzili, że chłopak ma złote ręce i koniec. Przyznał im się potem, że już 10 lat pracuje na tokarce, bo chociaż tak młodo wygląda to ma już 29 lat, a w Taganrogu skąd przybył nie należał do najgorzejch. I tak ludzie sprawdzali się w pracy, w domu, na podwórku. Z początku nieufni wobec siebie zawiązywali przyjaźnie w najbardziej nieoczekiwanych chwilach. Oceniano się nawzajem, posażu, ale sprawiedliwie. A czas pokazał, że jedni od drugich nie byli ani głupszy, ani mądrzejsi, że i mowa nie przeszkadzała w pracy, a przy wspólnym kieliszku jednakowo dobrze brzmiał śpiewny wschodni dyszkan, jak i twarde śląskie "san pierunie". Dzisiaj, kto by tam poznał skąd kto przybył. Pożeniło się bractwo ze wachodu z dziewczynami z Raciborza, mają dzieci, takie wschodnio - raciborskie, kto tam teraz w brygadach pamięta skąd przybył jego współtowar-

rzysz pracy. Ale to znowu wymagało czasu i jeszcze raz czasu. A kiedyśmy się już dobrze poznali, to nieraz z zazdrością w sercu słuchał ożkowiek opowieści o przeżyciach tych, co przyjechali do Raciborza, ot na przykład jeden taki W., też piecowy jak L.. Taki zawsze cichutki, skromny, słowa nie powiedział niepotrzebnego, a wszyscyśmy ozy wybałusiali jak przyniósł kiedyś do zakładu dziesięć bojowych medali. Porozwieszał je na obydwu piersiach, bo jednej nie starczyło, a jak zaczął gadać to niejeden nie wiem co był dać za czastkę tych przeżyć. Szedł od Oki, aż po Berlin i kto wie czy by i stolicy Rzeszy nie zdobył, gdyby nie fatalna rana odłamkowa, którą do dzisiaj czuje pod prawą łopatką. A bo to jeden taki Wolny przyjechał, każdy coś przeżył, każdy coś widział. Każdy w końcu znalazł swoje miejsce wśród społeczności miasta. Wszyscy szli i czekali na Polskę. My z Zagłębia przez pięć lat cierpień i głodu, a ci z Raciborza to jeszcze dłużej i przeżywali jeszcze więcej. A każdy z nas niósł w sercu miłość do swej ojczyzny, bez względu na to, jakim mówił dialektem. Musiałem ohoć w kilku zdaniach wspomnieć o ludziach Raciborza, bo to przecież niesłychanie ważna rzecz, że takie zbiorowisko ludzi, stworzyło w końcu tak zwarty monolit. Ich samych w tym zasługa, ale i zasługa mądrej polityki Partii, która potrafiła wiele tłumaczyć, łagodzić spory, podpowiadać wspólne cele. Byłem w tym czasie na jednym takim mieszanym weselu. Odbywało się niedaleko Raciborza, w Markowicach, skąd pochodził sławny trybun polaków A. B.. Brakarz K. wydawał swoją córkę za syna B. pochodzącego gdzieś spod Stanisławowa. K. śpiewał "wedle Raciborza miasteczka" a B. na odpowiedź swoim "ta słuchaj J., ta ja ze Lwowa" i wszystkie się obydwie piosenki jednakowo podobały.

I tak przeszły dwa następne lata: 1965 i 1966. Na olbrzymiej mapie świata wiszącej w jednym z działów zakładu przybyły



nowe kraje dokąd trafiły raciborskie kotły. India, Indonezja, Cejlon, Grecja, Maroko, Iran, Bułgaria. Miasto wzrosło już do 38 tysięcy mieszkańców. Ania się obejrzała jak stuknęła mi już trzydziestka i kilka następnych lat. W październiku 1966 roku postanowiłem po raz trzeci rozpocząć przygotowania do egzaminów na wyższą uczelnię. W Klubie Techniki zakład zorganizował 9 miesięczny kurs przygotowawczy. Organizacja techniczna wytypowała kilkunastu długoletnich pracowników. Po raz trzeci rozpocząłem naukę. Jak dotychczas nie mi w tym kierunku nie wychodziło. Poświęcałem nauce maksymalną ilość godzin. Siła dodawała mi K [REDACTED] napowrót wesoła, ciesząca się dziećmi, i domem. Z początkiem czerwca 1967 roku, kiedy do egzaminów pozostało jeszcze dwa tygodnie K [REDACTED] przyszła z pracy cała roztrzęsiona. W czasie badań kontrolnych lekarz stwierdził u niej sporego guza. Była to pozostałość, albo raczej następstwo operacji po M [REDACTED]. Byliśmy oboje przerażeni. Chyba jakieś fatum ciążyło nad nami, bo to już przecież trzeci wypadek, który jak dwa poprzednie mógł zniwelować mój wielomiesięczny wysiłek. Kilka wizyt u specjalistów i ostateczna decyzja, nieuniknione operacyjne usunięcie guza. Zdecydowaliśmy się na Klinikę Chirurgiczną w Krakowie. Odwiozłem K [REDACTED] 20 czerwca i zostawiwszy pod opieką siostry T [REDACTED] wróciłem do Raciborza, do dzieci. Za trzy dni otrzymałem wiadomość, że operacja się udała. Za dwa dni miałem egzamin wstępny, postanowiłem pojechać do Gliwic. Tym czasem wszystko poszło dobrze - zdałem. Presto z Gliwic pojechałem do Krakowa, by tą radością podzielić się z żoną. Wiedziałem, iż czuje się coraz lepiej, dzwoniłem bowiem codziennie do siostry T [REDACTED] w Krakowie. Spędziłem z nią całą sobotę i niedzielę i późnym wieczorem wróciłem do domu. Dzieci były u matki w Sosnowcu. Kilka minut po moim przyjeździe telefon z Krakowa. K [REDACTED] nieprzytomna, podobno ma być druga operacja.

Nie czekając rana, ruszyłem natychmiast z powrotem do Krakowa. K. [ ] była już po drugiej operacji. Postanowiłem zostać u niej tak długo, aż wyzdrowieje. Nie wyzdrowiała, umarła w tydzień później, wierząc do końca że będzie żyła. Zostałem sam z małym M. [ ] i 11-letnią Elą. Zwaliło się wszystko, co dotychczas zbudowałem. Nieważne w tej chwili com wtedy przeżywał, ważne jest, że w tym okresie nie byłem z moim nieszczęściem sam. Ta pomoc jaką otrzymałem od zakładu, od kolegów z pracy, przyjaciół, nie da się wyrazić słowami.

W październiku poszedłem na I rok studiów. [ ] został do 16-tej w przedszkolu, potem przebywał z E. [ ]. Wieczorami uczyłem się, przygotowywałem dzieciom bieliznę, a kiedy oni już spali siedziałem i myślałem jak długo tak wytrzymam. Człowiek jest chyba budowany z twardego tworzywa, wytrzymam bowiem to wszystko.

Dzisiaj kończę II rok studiów, ożeniłem się z końcem 1969 roku, z kobietą, która wróciła mi wiarę w życie, a dzieciom zastąpiła matkę. Za trzy lata będę inżynierem i na pewno zostanę w Raciborzu. Tutaj przeżyłem szmat czasu swego życia, tutaj przeżywałem radości i smutki, tutaj jest moje miasto.

I gdyby ktoś powiedział po co napisałem ten pamiętnik, mając taki prosty, niczym nie wyróżniający się życiorys, odpowiedziałbym mu wtedy: Z życiorysów prostych ludzi utworzona jest historia narodu. Proste życiorysy są więc potrzebne.